

VII.

CHIMERA—19.

TREŚĆ

TOM VII. ZESZYT 19. — KWIECIEŃ 1904.

Rysunek okładkowy przerysował na czterech kamieniach EDWARD OKUŃ.
Odbito okładkę w czterech kolorach w litografii W. GŁÓWCZEWSKIEGO w Warszawie.
Klisze rysunków do tego N-ru wytrawiono w zakładach chemigraficznych
TOW. AKC. S. ORGELBRANDA S-ÓW oraz B. WIERZBICKIEGO i S-KI.
Papier wyrobiono dla Chimery w fabryce C. A. Moesa „Pilica."
Składał i łamał JÓZEF PERŻAK. — Odbijali na maszynie:
tekst — ALEKSANDER TATAROWSKI, okładkę — WACŁAW MUSZYŃSKI
Pod zarządem PIOTRA UKLAŃSKIEGO.

Дозволено Цензурою. Варшава, 26 марта 1904 года.

Albrecht Dürer.
MELANCHOLIA.


MELENCOLIA I

„BOGA-RODZICA.“ PIEŚŃ.—ZE STANOWISKA HISTORYCZNO-LITERACKIEGO ODCZYTANA PRZEZ CYPRYANA NORWIDA.

„Szlachetne pragnienie musi się w nas
„zapalić do przyczynienia się także datkiem
„*z własnych zasobów*, aby powiększonym był
„owy bogaty spadek prawdy, obyczajności
„i wolności, który odziedziczyliśmy...“

SCHILLER.

Pierwszymi historykami są *poeci,* a pod ich nieobecność *starcy;* dalej *kronikarze,* i dopiero właściwi historycy; ci, którzy za dni naszych, użaliwszy się, że dotychmiast *„historya przez poetów pisaną bywała,“* zapowiadają jej rzeczywistą prawdę odkryć. Słowa te ich są bardzo obiecujące i oczekiwać na owoce pozwalają.

Atoli, w obecnym stanie rzeczy, historya jest poniekąd umiejętnością najmniej mającą podobieństwa do nauki ustalonej. Dowodów ku temu zawiele przyszłoby okazywać z łatwością potoczną. Same *określniki zasadnicze,* bez których żadna nie istnieje umiejętność, są u historyków tegoczesnych tak dalece niejasne, iż policzać onychże w szereg umiejętniczych środków niepodobna. Wyraz np. *„autochtony“* jest urojeniem, albowiem nigdy niebyło autochtonów, i dopiero skutkiem zachwiania tradycyj biblijnych na miejsce *jedynego-autochtona* stało się koniecznością dydaktyczną spłodzić autochtonów milion. Jest to więc nie rozwoju wiedzy, ale systemu

wynikiem. Nieprawdą jest podobnież, jakoby wędrówki ludów jednorasowemi pokładami człowieczeństwa tam i sam odpieranemi zaludniły obszary krajów... Tak, niekoniecznie było, gdziekolwiekbądź albowiem lud jaki przybywał i osiedlał się, zastawał zawsze słabe, rzadkie, ale odeń na miejscu starsze osady. — Dalej!.. ktokolwiek nie ze samych dzisiejszych pism, lecz i z życia pouczał się historyi, ten wie, iż tak zwanych *ludzi dzikich* nigdy i nigdzie żaden głębszy nie spotkał badacz. Byli to i są raczej *ludzie zdziczeli* a nie pierwotnie *dzicy*. Przemyślni w oszukaństwie i w podstępstwie, wyrafinowani w zadawaniu okrucieństw, biegli w imponowaniu zewnętrzną ciała postawą i tonem. Żadnego podziwu niemający dla cywilizacyjnych płodów naszych, lecz, i owszem, spokojną tylko pychę, iż wytworniejsze znają użytki... Tacy są przecież *rudoskorzy amerykańscy*, zarówno nadzy jak przesadni we wymyślaniu ozdób i strojeniu się, a ze wszech miar okazujący jakoby ostatnią jakąś *modę* spotworzonej pod koniec swego bytu, ale kiedyś byłej cywilizacyi. Ani, mówię, *autochtonów*, ani *dzikich ludzi*, ani *jednolitych całości ras*, rzeczywiście i prawdziwie te rozejrzawszy pojęcia i nazwy, wcale niema. Lud sam żaden ze stworzenia następstw na swojem miejscu nie wysnuł się — wszystkie przychodnie są i wszystkie spotykają się... Ludzkość idzie... zawsze...

Dla tegoto, śród tak zasadniczych błędów, zarówno czytelnik chce się dziwić: czemu *żaden historyk nie wie, odkąd rozpocząć swą historyę..?* i zarówno dziwić się temu nie może albowiem, kto chaosu nie zamknął, nie zna poczęcia. Kronikarze w tym względzie głębszymi są i bliższymi prawdy, ale ci pojęci są płytko, a kroniki źle odczytane. Wyrażenia, na których częstotliwie oparło się *wszystko*, bywają zaledwo że w zbliżeniu dotykane z właściwej ich strony. Całe przeto karty pierwsze, np. pol-

skiej historyi, są nieodwarte, całe ostatnie z tej samej przyczyny bezwyraźne i obowiązującej siły niemające. Nareszcie i samo pojęcie człowieka historyczne jest zniżone i obłąkane. Na źródeł brak do pierwotnych kart dziejów użalanie się jest filozoficznym *absurdem*. Jeżeli albowiem historya tak jest pojętą, *iż same jej braki, wyszczerby i przemilczenia nie oświecają i nie mówią;* tedy to nie jest wcale umiejętność pełna, ale zbiorowisko inwentarzów mniej lub więcej kompletnych, i których nigdy dość nie będzie. — Umiejętności pełność dopiero tam zaczyna się, gdzie i samo jej przemilczenie coś wyraża! Nareszcie, *regułą* jest powszechną, iż skoro gdzie badania historyczne do tego koniecznego kresu dojdą, w którym ciągle i ciągle też same *cytaty* tych samych kilku pisarzy starożytnych w kółko powtarzają się; wybija naówczas godzina zamknięcia ksiąg, a otworzenia archiwów kopalnej ziemi i językowych pokładów. Wszelako ruina żadna w Słowiańszczyźnie nie jest historycznie odkopaną... *). *Odkopanie*

---

*) Natura publikacyi rękopisów polskich pociąga za sobą przypiski, w miarę zalegań wciąż rosnące i powoli wyrównać mogące samej-że tekstu obszerności. Kiedy się pisało o godzinie otworzenia archiwów ziemi kopalnej, nie było jeszcze odkryć, które nareszcie zaczyna się uznawać. Pięć cmętarzysk przedchrześciańskich w Polsce zachodnio-południowej poruszono. Ze zdania sprawy atoli wiele jeszcze doczytać się nie można, z tej przyczyny, z jakiej na innem miejscu publicznie mówiłem był:

„*Coż* Grek *w Tartaryi znajdzie, jeśli jak* Grek *szuka..?*"

I dalej w tejże *rzeczy:*

„*Swoja własna metoda jest piętnem własności,*
„*NIC bez niej mieć niemożna, nawet dziadów kości.*"

Hrabia Zawisza utrzymuje, iż znalezione starożytności (które są wszystkie z ŻELAZA) oznaczają EPOKĘ BRONZOWĄ z tej przyczyny, iż archeologowie innych narodów, gdzie *bronz* był w używaniu pierwotnem, utworzyli *epokę bronzu*. — Podobnież jest wystoso-

historyczne a *odkopanie ogrodowe* są dwie rzeczy. Dla pierwszego niekoniecznie trzeba i samych nawet kształtów gmachu, częstotliwie natura pokładów piasku i atomy onegoż wystarczają. Jest to już dziś umiejętnością, nie dowolną igraszką, a której aby się nauczyć, trzeba i przy wykopaliskach różnych krajów czynnym bywać. Mnogie zaś *historyczne europejskie towarzystwa* są ku temuż, aby o właściwej godzinie i epoce umiejętności ostrzedz czytający ogół; tak, jak *zbiorowe ciała* ku temu są, aby obowiązującą siłę wyrobić i utrzymać; jak wydawców i księgarzy oświeconych baczność ku temu jest, aby nie dać się przeczerpywać chorobliwym smakom literatury, które same sobie zostawione do zupełnej muszą doprowadzać obojętności i do koniecznego bankructwa; tak, jak nareszcie godność osobista oświeconego i religijnego człowieka ten ma publiczny obowiązek, ażeby, *nie płaszcząc* krańców prawdy, wyznawać ją. To zaś, razem wzięte, zwie się *pracą* sumienną...

Szczęśliwymi, zaiste, są ci pisarze, którzy mogą trzy-

---

wane i całe sprawozdanie odkryć, które jednakże zasługują na uznanie pracy i starań tak Zawiszy jak wszystkich innych członków ekspedycyi. Tylko mówi się, iż tym sposobem tłómaczenia wszystkiego z obcej Minerwy na swoją, i bez żadnej własnej twórczości, niepodobna będzie nigdy nic znaleźć.

Tak samo wątpię bardzo, czy „*palafit*“ znaleziony jest palafitem, lubo nie wątpię, że to jest mieszkanie i *zamek nad-wodny*. Rzecz, o której w przypisku za długo pisać. Więcej powiedziałbym, gdybym ufał, że to się może na co przydać. Nietylko całe karty historyi, ale *kapitały w złocie, srebrze i w skarbach leżą w Polsce,* i można ołówkiem na karcie narysować nie miejsca same, ale region, w którym spoczywają. Lecz w Polce tylko jedna arcy cieniutka warstewka ziemi bywa poruszana pługiem i niejako oblizana z wierzchu. A to nie na samem polu agrykultury, lecz i na innych niwach nieinaczej jest. CYPRYAN NORWID. 1874.

mać się ściśle przedmiotu głównego i nieociemniać stylu przez uboczne albo długie wycieczki po za krańce ram właściwych rzeczy. Ta wszelako wielka przyjemność należy jedynie do właści pisarzy *szczęśliwych*, to jest, w ogóle żywym literatury znajdujących się, czyli przeto w takowym, który nieustanną pracą dopełnia swojego spółpracownika i nie wyniszcza onegoż ani zatraca. Słowem jednem i prostem, jest to tam tylko, gdzie jest *miłość* i bezosobista *potrzeba ciągłego uwielbienia praw postępu*, niby ogromna i udatniająca się nieustannie modlitwa wzdychającego za prawdą i wolnością ducha ludzkiego... Tam, mówię, gdzie przeto niema potrzeby jednocześnie zajmować miejsce swoje i toż miejsce robić, albo jeszcze pierwej onegoż miejsca przestrzeń uzasadniać.

Żyjemy zaś (jeżeli się nie mylę?) w epoce łatwego czytania rzeczy płodzonych szybko, ponętnych i głośnych. I to stało się jedną z pięknych pobudek do wywołania równocześnie *odczytów*, z powodu, iż przy szybkiem umysłowych płodów spożywaniu *odczytywać* na nowo godzi się. Ta wszelako charakterystyka epoki naszej nie przynależy się szczególnie ludom zachodnim, to jest, właśnie tym, które tworzenie rzeczy głośnych, małotrwałych i ponętnych, aż do industryi posunęły, z powodu, iż te ludy umieją zarazem świat zarzucić romansami, dorywczem dziennikarstwem, i sensualną dramaturgią,—i zarazem wielkie, poważne, cywilizacyjne kroki robić. Literatura owa jaskrawa i przelotna u ludów tych zewnętrzną tylko jest oponą, a przeto umiały one równocześnie *hieroglify* odczytać nad Nilem, assyryjskie z cegieł podjąć napisy, z mroków islandzkich *Eddę* v. *Eddas* zbliżyć do nas, i odszukać zarzucone książkami *Nibelungen*. Atoli wszystko to objaśnia tylko, gdzie mniej dobitnie lub dobitniej wycisnęła

się cecha epoki, lecz bynajmniej onejże nie usuwa. *Czytanie*, o którem na innem miejscu wypowiedziałem, iż jest *sztuką*, znajduje się obecnie i pogłównie na stanowisku sensualnej potrzeby i rozrywki. Cechą jego główną w starożytności i aż do połowy średnich wieków było *czytanie głośne*, deklamacyjne, modlitewne. Tak wygładzano *Epos* i *Legendę*, której ztąd osobna idzie nazwa. Czytaniu zaś owemu powinniśmy tok i nastrój wyższy, bo publiczny; tudzież poszła zeń eufoniczna ogólność względem dyalektów i ich odcieni, a nawet szczególny rodzaj *onkcyi*, która potem, we wtórej *epoce czytania samotnego i badawczego*, stała się zarodem rozględnej krytyki i etymologicznych prac poczęciem.

Niezbadaną jeszcze w głębiach swoich ale istną zdaje się być prawdą, iż postęp *twórstwa* warunkuje się postępem *czytelnictwa*. Ażeby mieć *bezwątpliwie* nowe utwory, trzeba pierw istniejące w zupełności mieć odczytanemi. Te albowiem, które co miesiąc nowemi zwą ludzie bawiący się czytaniem lub wydawcy, są *odmiennemi tylko, nie nowemi*, to jest, iż np. po utworach osnowanych na materyalizmie, następują feeryczne i na mistycyzmie osnowane, lub po patryotycznych kosmopolityczne i t. p.... Ruch taki, jest *przemianą* tylko postawienia się na temże samem miejscu, i utwory takowe wcale *nowemi* nie są. Jest to, zaiste, że zupełnie nowy wynalazek, za cel mający nietylko, samemi przeciwstawianiami względów i obrazów, czyli samą *tęczy irradiacyą*, ubawiać i wyniszczać poczucie istotnych potrzeb umysłowych, ale nadto dawać kłamne uczucie, iż takowe przestępowanie na jednem miejscu jest postępowaniem i pochodem. Ostrzedz o tem czytający i opiniujący ogół należy do obowiązku zbiorowych ciał umiejętniczych, które ku temu uwzględniane i posiłkowane bywają przez społeczność. I zapewne tę rzecz ciała owe sumiennie podnieść zamierzają, lub ją podniosły. — —

Od statecznego, zupełnego i dogłębnego odczytania istniejących już płodów literatury jak dalece pochód onejże i następna zależy autorska twórczość? to, na najpiękniejszym z przykładów, łatwo okazać. Podobno, że JEDYNYM z autorów spółczesnych polskich, umiejącym *czytanie wyższe*, jest Szajnocha. Jemu to gdyby naród za kilka kartek o *Popielu i myszach* („*Szkice*“) ofiarował medal złoty z obywatelską koroną, nietylko iż takową społeczeństwa przyzwoitością niebyłbym był bynajmniej zadziwiony, ale byłbym ledwo zadowolony!.. Te wszakże kilka kart Szajnochy, gdyby on sam był *dogłębniej* je odczytał, powinny były otworzyć lub dać hasło do otworzenia mnogich a wielkich milczeń przedkronikarskiej historyi polskiej i powinny były już do teraz całą szkołę wywołać. Nic się jednak nie stało w podobnym względzie i samo nawet tak świetne Szajnochy odkrycie, zamiast dać polot, wstrzymało się...

Przyczyna tego jeżeli leży w obojętności czytelnictwa polskiego, to powyżej, iż autor zatrzymał się na wskazaniu pierwszych liter głównych i uważał za dobre nie posunąć się aż do odczytania całej treści dlatego, iż takowe, bez narażenia się na pobłądzenie, rzadko się dawało uskutecznić. Ale ja się pytam, czyli ktokolwiek z nas ostatecznie zaręczyć sam może za istotną podawanej przezeń prawdy historycznej pewność, i czyli czasowi czegoś zostawiać w próbie tej nie mamy? Gdy, przeciwnie, zdaje się to być pewnością, iż zupełne jedynie i całe treści jakowej określenie powołuje interes czytelników.

Wyraz *mus*, w żyjącym polskim języku, znaczy po dziś dzień *pianę* — *musować* znaczy *pienić* — „*écumeur de mer*,“ zapieniający morze, znaczy *pirat*. Tenże wyraz *mus* niemniej po dziś dzień w języku żeglarskim znaczy *pachołka okrętowego*, albowiem zarówno w *żeglarskim języku* (który jest osobny i słowniki swoje posiadający) jak w ca-

łym przyborze i ustroju dzisiejszych okrętów zachowały się w pewnej tylko części dawnego żeglarstwa spadkobierstwa. Szajnocha, toż samo innemi gdy stwierdza wyrazami, cytuje *dziewięć* egzekucyj dokonanych przez *„myszy“* na osobach, mniej więcej zawsze *możnych*, śród których jest arcybiskupów czterech. Z czego dopiero ten genialny pisarz wyprowadza wniosek *(niedoczytany)*, to jest, iż łupieżcy na bogatych głównie godzili. Otóż ten właśnie wzgląd jest zaledwo że podrzędnym, i z pewnością że każdemu innemu wojsku i wojownikowi owoczesnemu równie spólnym, jak Nortmanom, tak dalece, iż w niczem on Nortmanów nie wyszczególnia ani nie objaśnia. — Przeciwnie nawet, wywnioskować możnaby, np., iż pod czasy owe tylko możni, bogaci i omurowani w swoich zamkach załogi potężne trzymać mogli, trzymali, i lada *myszy* nie jadły ich... Dla czegoż przeto taka plaga choćby na one dziewięć możnych głów upadła??..

Nortmanowie, nieco za pośpiesznie nazwani *korsarzami*, nie byli bryłą rasy wypełniającej najazd. Coś, zaiste, wyższego ten posiadać musiał, kto *narodem* niebędąc po dwóch krańcach naraz morzami Europę oblegał, na *Oceanie*, *Śródziemnem morzu*, *Czarnem* i *Kaspijskiem* ARGONAUCIŁ... (słowo to, argonaucić nowe jest i może — przepraszam za nie) — — kto Saracenom Sycylię wziął, a Imperatorom greckim i lombardzkim królom część Italii — kto zatrząsł Konstantynopolem — przykazał Anglii, i uzasadnił się we Francyi. A potem jeszcze, w Ameryce, *Kanadę* odkrył i *Luizyanę*, i założył *Quebek*; kto, na polu praw, dotrzymał wielkiego *Trybunału* (Echiquier) *konstytucyę* i okrzyk *„haro!“* — tudzież na dzień wielki Chrześciaństwa: *„Diex el volt!“*...

Północy-syn, *Nord-man*, skandynawski *„viking,“*

zatok-król („*vik*“ zatoka — *king* — *kyning* — *könig)*, nietylko umiał nawoływać wielkie burze i ciemne noce, by nastrajać wtedy żagle swoje, i nietylko w religii miał swojej, iż śmierć na spokojnem łożu *(strådod)* obrzydła jest niebiosom; miał on jeszcze *dogmaty* zawiązujące towarzystwo:

> słowa dotrzymać rycerskiego — przeniewiercą brzydzić się, *sponiewieranego, uciśnionego, wdowę i sierotę* ochronić i pomścić...

Bystro wyraża się o strategii Vikingów historyk, mówiąc: „la terreur marchait *devant eux et subjuguait par avance...*“

Wiedzieli oni dobrze, i „*par avance*“ przez „*musów*“ swoich, że, gdzie? na kogo i za co? skoro boży sąd upadł, albo zostanie on mimo dostojeństwa i mimo bogactw we wieży swojej odbiegniętym przez załogi i lud w godzinie próby, albo, co straszniejsza, umiejętnem a dwuznacznem milczeniem rzeszy i opóźnieniem ratunku, przejdzie w groźne Vikingów ręce *). Monarchowie tak nieraz podsuwali Nortmanom całe te prowincye swoje własne, które zasługiwały na niełaskę, a nieinaczej czynił i głos ogółu tej lub owej miejscowości względem możnych. Ztąd-to i u kronikarzy w zapisywaniu zdarzeń o „*myszach*“ jest niejaka metaforyczność i oględność wielce delikatna... Jakoż, z wielości to *ciał potrutych, które się wodami jeziora rozpłynęły*... wyszły były natychmiast myszy owe, co, nibyto (niekoniecznie z wielkim zapałem i przez całe *pospolite ruszenie* narodu) bronionego, monarchę zagryzły!..

Wieści o sprawach miejscowych od brzegów Polski

---

*) Pozostawić coś *na zjedzenie myszom*, to jest porzucić na ustroni i opuścić. —

dochodziły były w dnie jarmarków nawet i do samego świętego miasta Odyna!..

Adam Bremeński mówi o mieście *Birka:*

„miasto położone w środku Szwecyi, opodal *Upsali,*
„świątyni najsławniejszej u idolatrów Sueonów,
„tam, gdzie golf *barbarzyński* czyli *Baltycki* ciągnie
„się ku północy...
„... droga jest niebezpieczna... i wszelako naj-
„pewniejsza z dróg u brzegów Szwecyi — tam
„okręty duńskie, norwegskie, *słowiańskie,* tudzież
„*Sembów* (mieszkańców Prus) i innych Scytyj-
„skich ludów zatrzymywać się zwykły dla jar-
„marków, na których jest wymiana produktów
„ziemi.“

Vitalisy późniejsze *(przyjaciele Bozi a nieprzyjaciele ludzkich względów)* byli już arcy-upadłem i nieumiejętnem religii Vikingów naśladownictwem. Siły historyczne tak dziwnie bywają trwałemi, że, gdy Byron tworzył typ *korsarza,* i on sam i krytycy utrzymywali, iż na widoku miał jakiś typ idealny, gdy tymczasem było to tylko idealne określenie normandzkiego człowieka, którego Byron we krwi swojej nosił... i nic więcej! —

Wyznałem, iż szczęśliwymi są ci pisarze, którzy mogą bezzbocznie samego się przedmiotu trzymać; przyszło jednak rozszerzyć niniejszy *wstęp* i o napozór ustronnych mówić rzeczach; przeto, iż za cel mam rozejrzenie i odczytanie starożytnej pieśni polskiej „*Boga-Rodzica*“, od ośmiuset lat z różnym wygłaszanej zapałem lub z różnego stopnia i rodzaju uwagą czytanej. Do ila zaś zbyt długim albo niewystarczającym ten wstęp jest, okaże się to dopiero w ciągu rzeczy.

Mniemanie jest moje, iż pomimo *akademickich definicyj* i skrzętnych poszukiwań, nie ma jednak lud żaden

onej właściwej Epopei, która skarbem jest Greków. Są zaprawdę arcy-piękne i napozór podobne do Epopei utwory, to późniejsze, to starożytne; tak, iż one, w sensie potocznym mówiąc, za należące do tegoż samego dzieł rzędu liczy się. Nie przyjmuje ich jednakże sąd ściślejszy. Obraz z nich literacki złożyć można, lecz poddać pod krytykę niebezpieczna. Atoli, porówni mniemam i widzę, że *każdy lud jako Grekowie*, jeżeli nie tak wytwornie upojedyńczoną Epopeję, to onejże żywioły lub pracę posiada. I że Epopeja przeto jest żywotnym warunkiem ludów historycznych, który tylko najformalniej u Greków wyraził się, ale niemniej każdemu jest właściwym. Policzyłbym zapewne *Torquata Tasso* i *Cervantesa* nawet, i *Mickiewicza* lub *Słowackiego* między Epopei twórców, lecz *tam*, gdzie i o samym *Wirgiliuszu* możnaby nie zwątpić!!.. Sąd jednakże właściwej krytyki estetycznej nie może być na stopę zwykłego poglądu literackiego.

Epopeja jest utworem nastroju wysokiego, opiewającym bohaterstwo o *czynności jednej* i wybranej jako określnik całości jakiej sprawy obchodzącej naród i epokę.— „*Achilla gniew!*“.. jest wszystko.

Nadto, ma ona jeszcze rozwojowe warunki *intrygi, osi*, czyli *węzła* swojego żywotnego, a po szczególe *inwokacyę* i *zaklęcie*. *Cudowności* także używa, lecz i sami to gramatycy zgodnie przyznają, że „*poecie tej tylko cudowności używać wolno, w której sam wiarę pokłada..*.“

Tu — — ażeby wstęp mój, i tak już nieco przydługi, uhamować, wypowiem: że powyższa definicya znacznych rozszerzeń dziś wymaga. Że *formalnego potomstwa* taka (lubo właściwa) Epopeja nigdzie nie ma. Że praca ta jednakże, wszędzie istniejąc, stanowi u ludów innych rodzaj *wielkiej księgi* narodu, choćby księga taka nie była sposzytą w jeden tom. Że *moralnie wszędzie ona istnieje i istniała*. Niekiedy nazywają ją i „*Literaturą!*“...

Pochodzi to z przyczyny, iż nietylko pojedyncze umysły pracują, ale i wzajemne ichześrodkowanie i całość... Tak pojęta Epopeja zda mi się *opiewać dzielność jakowego ludu*, a *dzielność* jest to jego *praca i nabożeństwo*. — U Homera też, dwie te rzeczy gdyby odjęło się, zostałby romans lub powiastka.

Dla tychto więc zasadniczych elementów, i ażeby do pierwotnych źródlisk Epopei Polskiej przybliżyć się, biorę sobie za cel rozejrzenie i odczytanie pieśni „*Boga-Rodzica*“ ze stanowiska historyczno-literackiego.

C. N.

Tekst

BOGA RODZICA, DZIEWICA, BOGIEM SŁAWIONA
MARYA — U TWEGO SYNA HOSPODYNA
MATKO ZWOLONA,
MARYA — ZIŚCI NAM — SPUŚCI NAM
KYRIE ELEJSON TWEGO SYNA
CHRZCICIELA ZBOŻNY CZAS.
USŁYSZ GŁOSY, NAPEŁNIJ MYŚLI CZŁOWIECZE,
SŁYSZ MODLITWĘ — JENŻE CIĘ PROSIMY,
TO, DAĆ RACZY — TEGOŻ PROSIMY:
DAJ NA ŚWIECIE ZBOŻNY POBYT,
PO ŻYWOCIE RAJSKI PRZEBYT,
KYRIE ELEJSON.

Skarbnica archeologii żywotnej, Kościół Katolicki Rzymski, przechował nam najstarszą formę literacką nazywania rapsodów *od wyrazów pierwszych wiersza pierwszego.* Przed papiezkiemi bullami, uznane za ogólną własność hymny, rapsody, pieśni, i jakoby do *wielkiej księgi narodu* policzane, wyzywano po pierwszych onychże słowach. A to ze źródła tego, iż *śpiewający-pierwszy* zagajał jakoby chór, lub uwagę czy uciszenie się zboru powodował, wyzywając, co ma być głoszone. Tak, np., jakoby dziś gdziekolwiek polski lud zebrany miał się do pieśni i jakoby *pierwszy śpiewak*

zawołał: „*Kto się w obronę!*..“ intonując przez to *Dawidzki psalm* według tłómaczenia Kochanowskiego.

Pytanie jest wielkie, acz w tem piśmie *osobne*, i które po części tylko tu nadmienię: czyli Odysseja w obyczaju wulgarnym u Acheów nie nazywała się, jak my ją piśmiennie zowiemy: „ΟΔΥΣΣΕΙΑ“ — ale raczej: „Ἄνδρα μοι ἔννεπε“..?

Wytłómaczenie to nazwy hymnu świętego Wojciecha zarazem jest od pierwszego słowa dowodem, do ila ta pieśń żyła w duszach, i od jak nieskończenie dawna do *wielkiej księgi narodu* należała.

Wyraz „*Boga-Rodzica!*...“ wyrzeczony po pierwszy raz na krakowskim rynku, a potem powtarzany „*wszerz i wdłuż całej Polski*“ ówczesnej (oprócz *Gniezna)*, bez pominięcia „*najmniejszego nawet sioła*“ (Długosz w Dziejach), gdzie przez lat 3, jako Zbawiciel, ewangelizował św. Wojciech: wyraz ten „*Boga-rodzica!*“ tłómaczył na raz wszystko zbierającemu się ludowi. On, że „*dobra nowina*“ jest potwierdzana albo i przyniesiona, głosił sam przez się. Słowa zaś wielkiego męża Bożego „*prędko po całej rozchodziły się krainie.*“ —

Co więcej — mniemanie jest moje, ze starannego uważania budowy ogólnej hymnu „*Bogarodzica*“ powzięte, że składa się ten poemat modlitewny z części *dwóch*. I że pierwsza część, poczynająca się od wyrazu „*Boga-rodzica*“, zaokrągla i zamyka sens swój pierwszy na finalnym obrazie ostatecznych widzeń skroś nieba „tam“ — gdzie już tylko jest „*widzenie Twórcy anielskie bez końca!*...“ a po jakowem słuszna jest, iż nietylko żaden *Dante* ni *Calderon*, ale nawet i ścisły teolog, nie potrafiliby czegokolwiek za rozwijące tęż samą treść dalej uznawać. — Jakoż, po takowemto tej pierwszej części zamknięciu, spoziera jeszcze raz oko śmiertelne na padół, mówiąc z westchnieniem:

„*Tu — — się nam zjawiło dyable-potępienie!*“

I rozpoczyna się odtąd *część-wtóra* tegoż samego poematu, taż sama treścią, ładem i żywotnością teologii, ale we wszystkiem bliższa warunków historyi doczesnej Kościoła wojującego i *Pasyi* Boskiej. I ta znowu *po wtóry raz zamyka się jak pierwsza* po siedemkroć wyśpiewywanem „*Amen*“ przez wyznawców i chóry radujących się *sił niebieskich* przy odwarciu bram Raju.

Zbudowanie takowe *dwóch sfer hymnu* arcy-widoczne jest choćby tylko z przyczyny *dwóch ostatecznych końców* treści.

Pierwszej przeto części, pierwszego wiersza słowa pierwsze, dają nazwę rapsodu sposobem bull papieskich i początkują inwokacyę przez tę patetyczną formę deklinacyi, która zamiast *piątego* przypadku używa *pierwszego*. Zamiast odrazu „*O! Maryo*...“ jest jeszcze trzykroć pierwej Imię w przypadku pierwszym, lub przymioty toż Imię zastępujące, co daje tym sposobem wyraźną *Litanię* wstępną:

Boga-Rodzica-dziewica!
Bogiem sławiona Marya!
(u Twego Syna *hospodyna*)
Matko Zwolona —
Marya!..
Ziści nam — spuści nam:
Kyrie Elejson...
Twego Syna, Chrzciciela, zbożny czas.

Zupełne zbliżenie tych wyrazów „*Syna*“ i „*Chrzcicie*-

la“ cechuje epokę ewangelizacyi u Słowian, gdzie syn Zacharyasza i Elżbiety nie uprzedza o nieco czasu Zbawiciela, ale gdzie *Chrzest i Chrystus razem* się jawią. „*Zbożny czas,*“ nietylko w tymże *tu* jest sensie, ale opiewa on zarazem i *czas zbiorów zboża*... raz, z powodu, iż wszystko w tej pierwszej części poematu kreślone jest na jednem tle sielskiem i *kmiecem*, drugi raz, iż odnosi się to wyrażenie do podobnego jemu lub wzorującemu je, u Mateusza (IX, 38): *Proście-ż tedy Pana żniwa, aby wysłał robotniki na żniwo swoje* — czyli — „u Twego Syna“ — Pana (hospodyna) ziści nam, „spuści nam — — *zbożny czas*...“ — czas zbiorów zbóż należących do „*Pana żniwa*“ — „dominum messis.“

„*Kyrie elejson,*“ które w tej pierwszej strofie, części pierwszej, użyte jest dwukrotnie, a później już w całym ciągu pieśni niepowtarzane, raz, zamyka wstępną *Litanię*, która może w oryginalnych pierwszych rękopisach była lub bywała dłuższą i więcej rozwiniętą; drugi raz, zdaje się być muzykalnym strofy odcinkiem. Że albowiem ta pieśń *długo i częstotliwie była śpiewaną,* to znać jest na niej samej, tak, jako dziś ją mamy, i to każdy nieco we filologii biegły zapewne uważył.

„Usłysz — GŁOSY...
„Napełnij — MYŚLI...
„Słysz — MODLITWĘ!

Stopniowanie to umyślne, bo które jeszcze pierwej spotyka się we wyrażeniach po sobie idących „*ziści*“, „*spuści*“, jest tak prawie że bezprzykładnie pięknem i arcydzielnem, tak zarazem głębokiem i estetycznie udziałanem, iż, gdyby tylko te jedynie z całego utworu wiersze zostały, już umielibyśmy wyraźnie poczuć, dlaczego i *Wujek*,

i *Skarga*, o tej pieśni gdy mówią, są w niejakim zachwycie, ze stylu ich, słów i określeń do dziś czytelnym.

Jest to, zaiste, że prawdziwa i podobno jedyna, jaką posiadamy, GLOSA pierwo-chrześciańska. —

I dla tego-to dalej po takiej *Glosie* idzie już to *jęczenie,* które bywało u pierwszych Chrześcian stopniem pewnym i przymiotem *glossolalii* właściwym — — „*jenże!*..“ czyli: *jęcząc prosimy Cię*... i stopniowany jeszcze docisk jęku: „*to* dać raczy, *tegoż* prosimy...“

Rozjęk zaś takowy, modlitwą wewnętrzną i śpiewem ustopniowany, należał był tak nierozłącznie do modlitwy śpiewnej, jak niektóra część białego ręcznika, jakiej używa kapłan przy Mszy św., początek swój wzięła od potrzebnej *chusty do ocierania łez.* Czytanie pomników albo musi się archeologią żywotną posiłkować i oświecać, albo pozostać użalaniem się na brak źródeł (których częstokroć jest za wiele) i, nieodczytawszy prawie NIC, wszystko obmierzić, bo uczynić i *sławnem* i *nieznanem!* *). —

Nieocennnie drogą jest to rzeczą, iż w najpierwszych *trzech słowach* pieśni:

---

*) *Umiejętność mowy* jest najmłodszą z nauk, albowiem dopiero kilkadziesiąt lat liczącą, ale w postępach swych może najszybszą. Wynika z tego, że należy się jej albo równie szybka poręka wydawnictwa i ruchu umysłowego, albo spóźniane lecz przytomne rektyfikacye. Co do *glossolalii,* żaden filolog (oprócz C. N.) nie podnosił jeszcze tej kwestyi w Europie. — Co do formy Litanii, którą tenże za jeden z peryodów Glossolalii okazuje, nie jest dotąd jasne, czyli ta forma, za czasu pierwszego najścia Tatarów, gdzieś śród chroniących się i zmodlonych utworzoną i wyłkaną poczęła się? a dobrze później w obleganym Wiedniu austryackim wybrzmiewała; czyli, jak mniemają inni, *niemniej pod ogólnym ciosem,* i pod przewodnictwem świętego Mamerta we Wiedniu Delfińskim (Vienne en Dauphiné) wygłaszaną poczęła być? Archeologiczna ta wątpliwość nie odmienia natury źródła, w każdym razie albowiem *litania* ze zbiorowej glossolalii poczęła się. C. N.

„Boga — rodzica — dziewica“

lat temu osiemset był już obwołanym dogmat, o którym, skoro za dni naszych stało się solenne i pontyfikalne kościoła orzeczenie, wielu ze spółczesnych publicystów jakoby *„o wynalezionym nowo“* dogmacie prawiło!..

Do osobnego zaś podniesienia należy w tym ustępie użyty wyraz: *„hospodyna.“* Wyraz ten jest podobno jednym z najstarożytniejszych fragmentów pierwo-słowiańskiej cywilizacyi, lecz u Polaków, gdzie się społeczność wcześnie uzasadniać poczęła, wyraz ten wcześnie się rozmnożył na *„gospodarzy“* i jedną z pierwotnych swoich stradał godności. U południowych Słowian dłużej trwał on w jednem z pierwszych znaczeń swoich, ale na Wołoszczyźnie i to znaczenie spotworzyło się tak, iż niektórzy etymologowie, pod jednej epoki wpływem będący, tłómaczą *„Hospodar“* od greckiego i bezpośrednio wyraz ten z *„Despotą“* łączą. Indziej, wybrzmiewa on jeszcze: *„pan — sir* — mon-sir *v.* monsieur.“

Atoli pierwsze, kardynalne znaczenie słowa tego wiązało się było z praktyką pierwszych religijnych zasad. — *Gościnność*, na początku, nie była samem tylko uczuciem i obyczajem, ale *religijną* praktyką osadzoną na tej wierze, iż bóstwo może posyłać ludzi wędrownych, czy jak później usubtelniono: *przybierać ich zewnętrzność*, i że *posłańcy* czyli *aniołowie* przyjmowani być mogą w gościnnych domach pod mniemaniem, iż ludzi przyjmuje się. Ci zaś, bez zostawowania *darów*, nie odchodzili, i należało baczność mieć dla wszystkich czujną i ochotną. *„Gospodyn“* jest to *„Gość a Pan“*, „a *jedyny“* — we skandynawskiem dobrzmieniu *„Gość-a-Odyn“* — a w dobrzmieniach innych jeszcze toż samo. Nie, ażeby etymologij wiele miał jeden wyraz, ale iż starożytność wyrazu udziela mu wielu wpływów wielu epok. *Hospodyn* jest to hebrajski *„Emmanuel“* poniekąd,

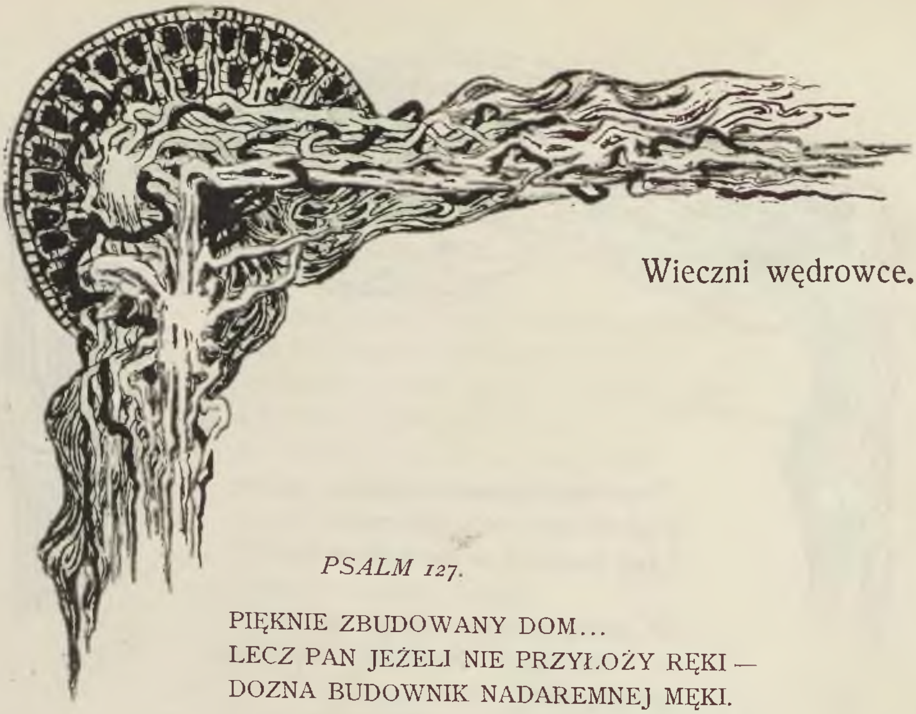
wyczekiwany i spodziewany *Gość*, ale i *Pan!* — ku czemu, po przemianie praktyk religijnych, pozostało już obyczajowe ale arcy stare przysłowie:

„Gość w dom, to *Bóg* w dom“ — a to jest: „*Gospodyn.*“ — Nazwa ta po żeńskiej stronie pozostała z powodu małżeństw chrześciańskich, które z *jednożeństwem* uidealizowały kobietę („*Gospodyni*“) i niejako anielski charakter przyznały jej.

PISAŁEM W PARYŻU 1873 R.

Cypryan Norwid.

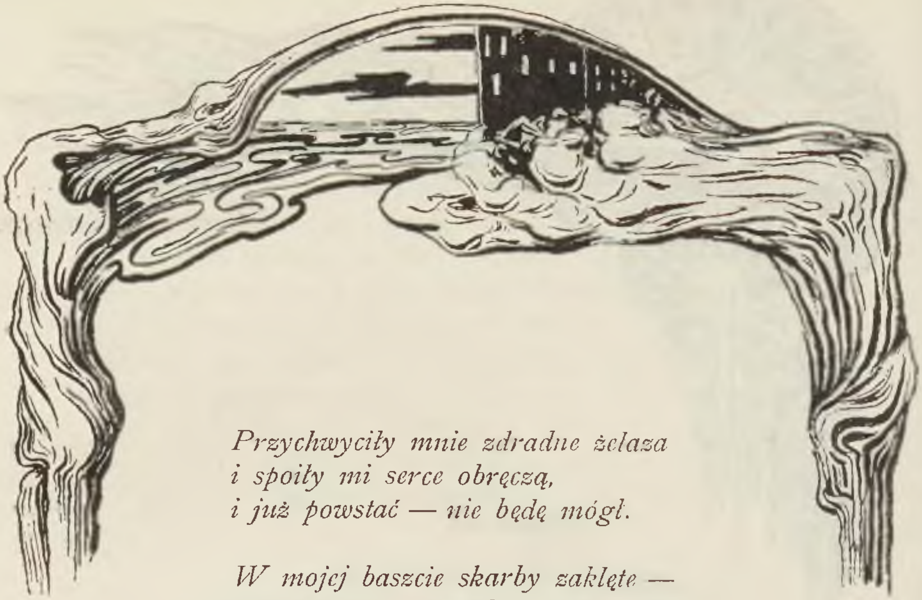
(Dokończenie.)



Wieczni wędrowcy.

PSALM 127.

PIĘKNIE ZBUDOWANY DOM...
LECZ PAN JEŻELI NIE PRZYŁOŻY RĘKI —
DOZNA BUDOWNIK NADAREMNEJ MĘKI.
SEN GO ODLECI ZE ZNUŻONYCH POWIEK,
RĘKĘ Z ZAŚWIATÓW POCZUJE NA SKRONI,
I PRZYJDZIE W NOCY TEN ROZWAŻNY CZŁOWIEK,
WSZYSTKO POSIADŁSZY, DO GŁĘBOKIEJ TONI.
I W GWIAZDY PATRZĄC — TAM NA DNIE STRUMYKA —
ZSTĄPI W MILCZĄCE PODWODNE KOMNATY —
SERCE SIĘ JEGO UDERZY O KRATY,
ZA KTÓRE NIGDY ROZUM NIE PRZENIKA.
I ZNAJDĄ RANKIEM TO JĘCZĄCE CIAŁO
W MĘCE KONANIA NAD WODY LAZUREM —
A GWIAZDY ŚPIEWAĆ JEMU BĘDĄ CHÓREM
TO, CO SIĘ ŻYWYM SŁYSZEĆ NIE UDAŁO.
TAK — JEŚLI WIECZNEJ NIE ZBUDUJEM DUSZY, —
BUTWIEJĄC ŁZAMI, JAKO LIŚCIEŃ W GRUDNIE,
I JAK ZAMCZYSKO, CO SIĘ W MROKACH KRUSZY,
I JAK KRWI KROPLE, CO PADAJĄ W STUDNIĘ, —
ZEJDZIEMY WIDMA — — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — — — — — — — — —



Przychwyciły mnie zdradne żelaza
i spoiły mi serce obręczą,
i już powstać — nie będę mógł.

W mojej baszcie skarby zaklęte —
w moim zamku duchów pełne głazy
czekają harfy czarodzieja.

O, smutków pełne są posągi —
z pod każdej trawki śmierć mi gra,
— pokrzyw jadowite ognie
zakryły wejścia moich grot.

Rozerwać! bezmiar skał —
wyszarpnąć skrzydła z pośród lochów —
mroczne witraże napoić słońcem —
rubinowy kielich
na czarnych obłędu katowniach.

Wyszarpnąć chciałbym skrzydło moje
i Drogą mleczną moich piór —
wrócić do ojczyzny w niebiosach.

Krople krwi padają
z białych łabędzi —

co je orły szarpią nad mą głową.
Słyszę smutny jęk…
Nie wyzwolę was — me wieszcze ptaki —
jak nie wyzwoliłem
otchłani piekieł moją nadaremną męką.
Wicher szarpie zasłony drzew —
kamienny zamek drży w posadach swoich.
Rycerz w świecącej zbroi,
nad krawędzią okna przechylony,
patrzy na drogę w głębinie,
usianą plamami krwi i pełną ognia.
Wśród karłowatych drzew
wije się smętna droga.
Tamtędy on musi przejść!..
I zrzucił zbroję —
w szarej wygnańca opończy
szedł w las, który się palił mu nad głową.

O hej!..
o hej!.. o hej!..

Nie płacz! orłom nie zakłócaj ciszy —
strudzone śnią...
Serce twe: grota wśród leśnej komyszy,
gdzie bóstwa lśnią.



Przelatują nademną upiory —

— — Jezus Maryja! —

schodzę w w puszcze mogił — w głuche nory —

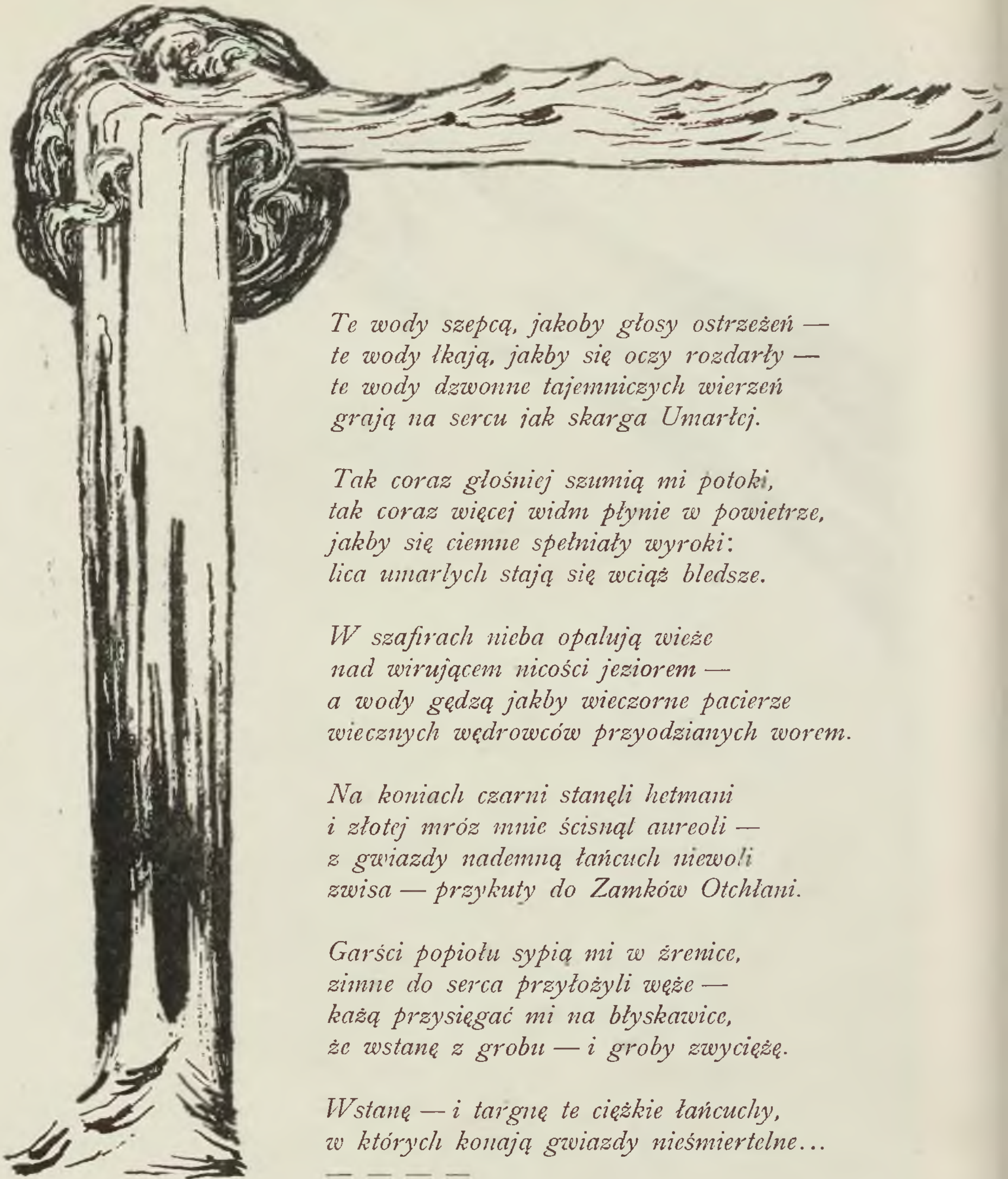
— — Jezus Maryja! —

za mną kroczą na koniu hetmany —

— — Jezus Maryja! —

przez świat idę — ja król obłąkany —

— — Jezus Maryja! —



Te wody szepcą, jakoby głosy ostrzeżeń —
te wody łkają, jakby się oczy rozdarły —
te wody dzwonne tajemniczych wierzeń
grają na sercu jak skarga Umarłej.

Tak coraz głośniej szumią mi potoki,
tak coraz więcej widm płynie w powietrze,
jakby się ciemne spełniały wyroki:
lica umarłych stają się wciąż bledsze.

W szafirach nieba opalują wieże
nad wirującem nicości jeziorem —
a wody gędzą jakby wieczorne pacierze
wiecznych wędrowców przyodzianych worem.

Na koniach czarni stanęli hetmani
i złotej mróz mnie ścisnął aureoli —
z gwiazdy nademną łańcuch niewoli
zwisa — przykuty do Zamków Otchłani.

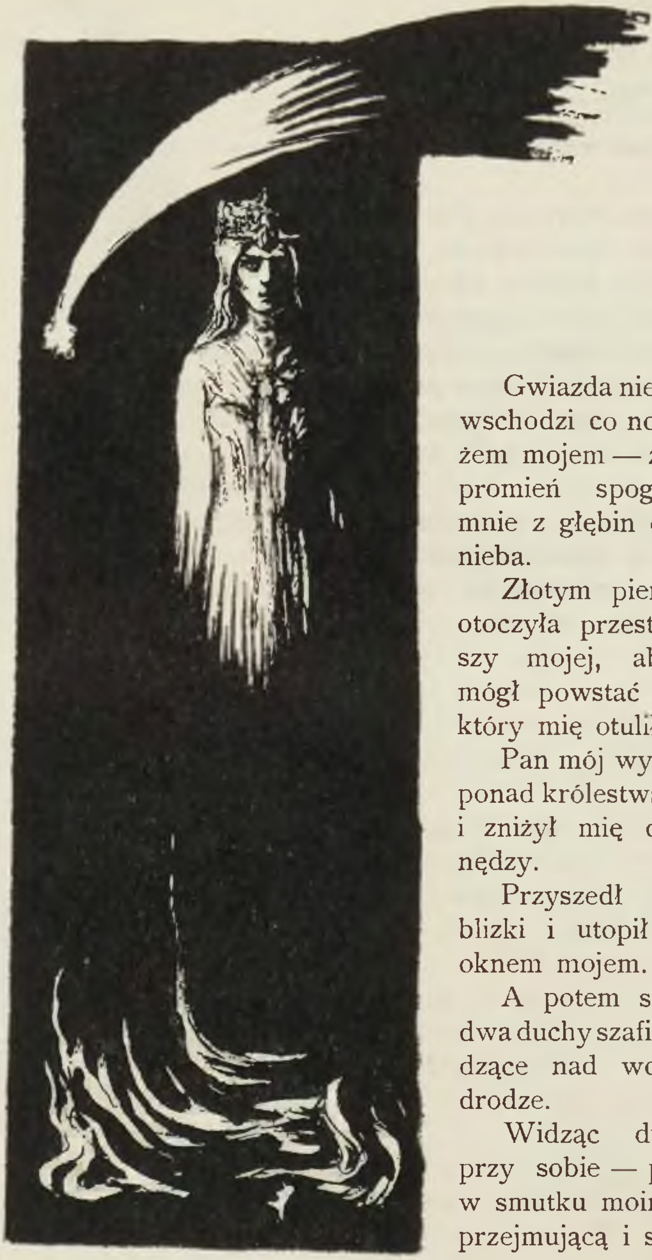
Garści popiołu sypią mi w źrenice,
zimne do serca przyłożyli węże —
każą przysięgać mi na błyskawice,
że wstanę z grobu — i groby zwyciężę.

Wstanę — i targnę te ciężkie łańcuchy,
w których konają gwiazdy nieśmiertelne...
— — — —

a wody szumią, jak chóry kościelne,
a Mszy Wieczornej nadsłuchują duchy.

— Czemu nie mogę iść, Panie, za Tobą?
duszę mą we krwi za Ciebie położę! —
„Duszę swą — krwawą opłaczesz żałobą,
„bo się mnie zaprzesz potrzykroć na dworze.
„Niech się nie trwoży serce wasze w zgonie,
„choć ducha prawdy świat przyjąć nie może —
„już Książę świata zabłysnął na tronie,
„we mnie nic niema, tylko mroki boże.“

To mówił Jezus i, podniósłszy oczy,
ujrzał dokoła zimną gwiazd pustynię —
czarne olbrzymie księżyca świątynie —
wody szumiące, jak rana, co broczy.



Gwiazda nieszczęścia wschodzi co noc nad łożem mojem — zimny jej promień spogląda na mnie z głębin ciemnego nieba.

Złotym pierścieniem otoczyła przestwór duszy mojej, abym nie mógł powstać z głazu, który mię otulił.

Pan mój wyniósł mię ponad królestwa ziemi — i zniżył mię do lochu nędzy.

Przyszedł człowiek blizki i utopił się pod oknem mojem.

A potem spotkalem dwa duchy szafirowe siedzące nad wodą przy drodze.

Widząc duchy te przy sobie — poczułem w smutku moim radość przejmującą i słodką.

Otwarłem księgę Uspokojeń i czytałem z niej, weseląc sie z duchami jasnemi.

Chciałbym się u nóg Twoich położyć i nie wstać, zapatrzony w oczy Twoje.

Wybiegnę daleko na spotkanie króla mojego — i będę słuchał Jego dziwnych słów.

Dusza moja między ogniami skwarzy się — między ołtarzami czterema zapalonemi na rogach jej.

Ziemia pode mną, niebo nade mną, wkoło ogień.

Umiłuj mnie — piersiami Twemi niech się nasycę — w zasłonie skrzydeł Twoich, o Śmierci!..



Tadeusz Miciński.

O teatrze maryonetek.

Bawiąc w zimie 1801 r. w M., spotkałem tamże w ogrodzie publicznym pewnego wieczora pana C., — który od niedawna został był pierwszym tancerzem opery miejscowej i cieszył się szczególniejszemi względami publiczności.

Powiedziałem mu, iż miałem już przyjemność widzieć go kilkakrotnie w teatrze maryonetek, który rozbił swój namiot na targowicy i zabawiał gawiedź drobnemi burleskami dramatycznemi, przeplatanemi tańcem i śpiewem.

Zapewnił mnie, iż lubi bardzo kukieł tych pantomimikę, i dał niedwuznacznie do zrozumienia, że tancerz, który chce się wykształcić, niejednego od nich nauczyć się może.

Zdanie to, oraz sposób, w jaki je wyraził, wydały mi się czemś więcej niż zwykłym frazesem, usiadłem przeto przy nim, by się szczegółowiej dowiedzieć, na czem to swoje osobliwsze opiera twierdzenie.

Spytał mnie, czy nie zauważyłem istotnie, iż niektóre ruchy lalek, zwłaszcza drobniejszych, mają w tańcu dużo wdzięku?

Zaprzeczyć temu nie mogłem. Grupy czterech chłopów, co w szybkim takcie tańczyli oberka, nie mógłby piękniej namalować sam Teniers.

Zagadnąłem tedy o figurek tych mechanizm, oraz czy to podobna, miryadów nitek na palcach nie mając, tak pokierować poszczególnemi ich członkami, tudzież punktami tychże, jak tego rytm ruchów i tańca wymaga?

Odpowiedział na to, iż nie trzeba sobie wyobrażać, jakoby maszynista w różnych momentach tańca nastawiał i pociągał każdy członek zosobna. Każdy ruch — objaśniał — posiada swój punkt ciężkości; wystarcza nim kierować wewnątrz figury; członki są tylko wahadłami i idą za nim same przez się, bez żadnej pomocy mechanicznej. Prócz tego dodał, iż ruch ten jest nader prosty, że za każdym razem, gdy punkt ciężkości w linii prostej poruszany bywa, członki tem samem opisują krzywizny; oraz że często przypadkowe jeno wstrząśnienia wprawiają już całość w rodzaj rytmicznego ruchu, podobnego do tańca.

Dopiero te uwagi wyświetliły mi potrosze przyjemność, jakiej w teatrze maryonetek miał rzekomo doznawać. Nawet przybliżeniu jednak nie domyślałem się jeszcze wniosków, jakie później ztąd wysnuł.

Zapytałem, czy zdaniem jego maszynista, lalkami temi kierujący, winien sam być tancerzem, lub przynajmniej na piękności tańca się rozumieć?

Jeśli strona mechaniczna jakiegoś zajęcia jest nawet łatwa — odrzekł mi na to — nie wynika ztąd jednak jesz-

cze, by można je uprawiać, nie przejmując się niem wcale. Linia, którą ma opisać punkt ciężkości, jest wprawdzie wcale niezłożona i, według mego zdania, najczęściej prosta. Gdy zdarzy się, iż jest krzywą, prawidło jej krzywizny zda się zaliczać do pierwszego lub co najwyżej do drugiego rzędu, a i w tym ostatnim nawet wypadku jest ona tylko eliptyczną, która to forma ruchu, skutkiem stawów, kończynom ciala ludzkiego na ogół jest wrodzona; zakreślenie jej nie przedstawia przeto dla maszynisty nazbyt wielkich trudności. Z innego natomiast względu linia ta ma w sobie coś bardzo tajemniczego, gdyż jest ona poprostu drogą duszy tancerza; i wątpliwem wydaje mi się, by można ją odszukać inaczej, jak w ten sposób, iż maszynista w punkt ciężkości maryonetki sam się przenosi, czyli, innemi słowy, tańczy.

Odparłem, iż zajęcie tegoż wydawało mi się czemś wcale bezdusznem, w rodzaju kręcenia korby, obracanej przy grze na lirze.

Bynajmniej, odpowiedział; ruchy jego palców zostają do ruchu przytwierdzonych do nich lalek w stosunku dość misternym, mniej więcej jak liczby do swoich logarytmów, lub asymptota do hiperboli. Dodał wszakże, iż, według jego zdania, można pozbawić maryonetki nawet tej ostatniej odrobiny ducha, o której wspomniał, tak, że taniec ich da się sprowadzić wyłącznie do sfery sił mechanicznych i wywołać za pomocą korby, jak to sobie wyobrażałem.

Wyraziłem mu swoje zdziwienie, iż ta, dla pospólstwa wynaleziona, sztuki pięknej odmiana tak żywo go obchodzi. Nie tylko bowiem przypisuje jej zdolność do wyższego rozwoju, lecz owszem sam nią nawet zajmować się zdaje.

Na to odrzekł z uśmiechem, iż gdyby jaki mechanik zechciał zbudować maryonetkę, wedle wskazanych przez

niego wymagań, to on poważa się twierdzić, że za pośrednictwem tejże przedstawiłby taki taniec, na jaki nie stać ani jego, ani żadnego innego zręcznego tancerza, samego Vestris'a nie wyjmując.

Czy słyszał pan, zapytał, gdy wzrok w milczeniu opuściłem ku ziemi: czy słyszał pan o owych mechanicznych nogach, sporządzanych przez angielskich specyalistów dla nieszczęśliwych, którzy uda własne postradali? Nie! — odparłem — czegoś podobnego nie widziałem nigdy. Szkoda — odrzekł — gdyż jeśli panu powiem, iż ci nieszczęśliwi tańczą niemi, lękam się niemal, iż pan nie da mi wiary. Co mówię, tańczą! Zakres ich ruchów jest wprawdzie ograniczony; te wszakże, któremi rozporządzać mogą, dokonywają się z takiem spokojem, lekkością i wdziękiem, iż każdy umysł myślący w podziw wprawić mogą.

Odezwałem się żartem, iż znalazł tedy człowieka, jakiego potrzebuje. Gdyż ten sam specyalista, który takie przedziwne udo sporządzić potrafi, zdolen jest także niewątpliwie skonstruować całą maryonetkę, co żądaniom jego zadość uczyni.

Jakież to, zapytałem, gdy z niejakiem zakłopotaniem spuścił oczy, jakież to są żądania, które pan sprawności jego postawić zamierza?

Nic ponadto, odpowiedział, coby w pierwszym tym razie także już nie istniało: wymagam proporcyi, ruchliwości, lekkości, jeno wszystkiego w wyższym stopniu, a przedewszystkiem — zgodniejszego z przyrodą rozmieszczenia punktów ciężkości.

A zalety, jakiemiby taka lalka nad żywymi tancerzami górowała?

Zalety? Najpierw negatywna, przezacny mój przyjacielu, ta mianowicie, iż nie wdzięczyłaby się nigdy. Wdzięczenie się bowiem, jak panu wiadomo, występuje wtedy, gdy dusza *(vis motrix)* w jakimkolwiek innym punkcie, nie zaś

w punkcie ciężkości ruchu się znajduje. Ponieważ maszynista, za pośrednictwem drutu czy nitki, żadnego innego punktu okrom tego jednego w mocy swej nie ma, wszystkie inne członki są przeto tem, czem być powinny, martwemi jeno wahadłami, które powodują się jedynie prawem ciężkości; przewyborna właściwość, której u większości naszych tancerzy szukać daremnie. Niech pan spojrzy chociażby na pannę P., mówił dalej, gdy, grając Dafne, ogląda się na ścigającego ją Apollina; ma wtedy duszę w kręgach krzyżowych, wygina się, jak gdyby złamać się miała, niby najada ze szkoły Bernini'ego. Niech pan popatrzy na młodego F., gdy jako Parys stoi w otoczeniu trzech bogiń i wręcza jabłko Wenerze; ma on duszę — aż strach spojrzeć! — poprostu w łokciu. Usterki takie, dodał, urywając, są nieuniknione, odkąd spożyliśmy owoc z drzewa świadomości. Lecz raj zamknięty, a za nami Cherub; musimy odbyć podróż naokoło świata i zajrzeć, czy przypadkiem nie jest znowu otwarty gdziebądź od tyłu.

Zaśmiałem się. — Bez wątpienia, pomyślałem sobie, nie może duch tam pobłądzić, gdzie go niema wcale. Zauważywszy atoli, iż ma jeszcze coś na myśli, prosiłem go, by mówił dalej.

Takie lalki, rzekł, mają nadto tę zaletę, iż są przeciwważkie. Bezwładności materyi, tej właściwości tańcowi tak opornej, wcale nie ulegają, gdyż siła, unosząca je w powietrze, większa jest od tej, która je do ziemi przykuwa. Coby dała za to poczciwa nasza pani G., gdyby była lżejsza o sześćdziesiąt funtów, lub gdyby przy swych *entrechats* i piruetach ciężar tejże wagi miała do pomocy? Kukły, wzorem elfów, potrzebują podstawy tylko o tyle, by ją muskać i od rzekomej tej przeszkody wzlotność swych członków na nowo ożywiać; my potrzebujemy jej, by się na niej opierać i po trudach tańca wypoczywać;

sam ten moment właściwie tańcem nie jest i tyle tylko da się z nim zrobić, iż się go o ile możności maskuje.

Odezwałem się na to, iż mimo całej zręczności, z jaką paradoksy swe popiera, nigdy przekonać się nie dam, by mechaniczny manekin mógł więcej wdzięku posiadać od budowy ciała ludzkiego.

Odparł, iż dla człowieka byłoby wprost niemożliwością manekinowi pod tym względem choćby tylko dorównać. Bóg jeden może się mierzyć na tem polu z materyą, i tu jest punkt, gdzie się zbiegają oba końce kolistego świata.

Zdumienie moje rosło, nie wiedziałem, co na osobliwsze te twierdzenia powiedzieć.

A on, zażywając szczyptę tabaki, zagadnął, iż nie czytałem snadź uważnie trzeciego rozdziału pierwszej księgi Mojżesza; kto zaś tego pierwszego okresu wszelkiej kultury ludzkiej nie zna, z tym też o następnych, a tem mniej o ostatnim, mówić niepodobna.

Na to rzekłem, iż wiem dobrze, jaki nieład wywołuje świadomość we wrodzonej gracyi ludzi. Pewien młodzieniec z pośród moich znajomych skutkiem luźnej uwagi postradał w mych oczach niejako swą niewinność i raju tejże mimo wszelkich możliwych wysiłków nigdy już nie odzyskał. — Lecz jakież wnioski, dodałem, może pan ztąd wyprowadzić?

Zapytał mnie, co za wypadek mam na myśli?

Przed trzema mniej więcej laty, jąłem opowiadać, kąpałem się z pewnym młodzieńcem, którego budowa odznaczała się podówczas przedziwnym wdziękiem. Liczył on lat szesnaście niespełna i z lekka jeno zaznaczały się w nim pierwsze ślady próżności, względami kobiet wywołane. Zdarzyło się, iż właśnie na krótko przedtem widzieliśmy w Paryżu młodzieńca, wyjmującego sobie ze stopy drzazgę; znany odlew tego posągu znajduje się we

wszystkich prawie zbiorach niemieckich. Stawiając nogę na stołeczku, by ją obetrzeć, rzucił wzrokiem w wielkie zwierciadło i przypomniał go sobie; z uśmiechem oznajmił mi o tem swojem odkryciu. Tejże samej chwili ja także zauważyłem istotnie to samo; chcąc wszakże czy to pewność właściwej mu gracyi zbadać, czy też na próżność jego zbawiennie podziałać, zaśmiałem się i odparłem, iż zwidują mu się snadź duchy! Zarumienił się i podniósł nogę powtórnie, by mi to podobieństwo pokazać; atoli próba, co łatwo można było przewidzieć, wypadła niepomyślnie. Zmieszany podniósł nogę po raz trzeci i czwarty, podniósł ją jeszcze z dziesięć razy: nadaremnie! tego samego ruchu powtórzyć nie mógł. Co mówię! ruchy, przezeń wykonywane, miały tyle pierwiastku komicznego, iż z trudnością powstrzymywałem się od śmiechu. Od tego dnia, od tej chwili niejako, zaszła w młodzieńcu owym niepojęta zmiana. Jął całemi dniami wystawać przed lustrem, i tracił jeden powab po drugim. Jakaś niewidzialna, niepojęta potęga zdała się ogarniać gdyby żelazną siecią swobodną grę jego gestów, a po roku nie było w nim ani śladu tego ujmującego wdzięku, który czarował przedtem oczy otaczających go ludzi. Dziś jeszcze żyje ktoś, co był świadkiem tego dziwnego i niefortunnego wypadku, i moje opowiadanie słowo za słowem potwierdzić może.

Przy tej sposobności, rzekł uprzejmie pan C., opowiem panu zdarzenie, z którego łacno pan wyrozumie, o ile ono z przedmiotem naszej rozmowy pozostaje w związku. Podróżując po Rosyi, bawiłem w dobrach liflandzkiego szlachcica, pana von G., którego synowie ćwiczyli się podówczas zawzięcie w szermierce. Zwłaszcza starszy, który właśnie powrócił był z uniwersytetu, udawał wirtuoza, i gdy pewnego razu zaszedłem rankiem do jego pokoju, podał mi rapier. Starliśmy się; zdarzyło się atoli, iż miałem nad nim przewagę. Do jego zmieszania przyłączyła

się jeszcze zapamiętałość. Żaden niemal mój sztych nie chybiał, a w końcu rapier jego poleciał do kąta. Podnosząc broń, rzekł nawpół żartem, napoły z urazą, iż znalazł swojego mistrza; że wszystko atoli na świecie musi znaleźć swojego, więc on do mojego mnie zaprowadzi. Bracia, wybuchnąwszy głośnym śmiechem, zawołali: chodźmy, chodźmy do drewutni! i, wziąwszy mnie za ręce, zaprowadzili do niedźwiedzia, którego ojciec ich, pan von G., chował na swym folwarku. Kiedy zdziwiony stanąłem przed nim, dźwignął się niedźwiedź na tylne łapy, wsparł się grzbietem o pal, do którego był uwiązany, i, podniósłszy prawą łapę do uderzenia, patrzył mi w oczy; była to jego postawa szermierska. Zdawało mi się, że śnię, gdy takiego przeciwnika ujrzałem przed sobą; lecz pan von G. zawołał: zaczynaj pan, zaczynaj pan, zobaczymy, czy mu podołasz! Ochłonąwszy nieco ze zdumienia, wypadłem nań z rapierem; niedźwiedź zrobił krótki ruch łapą i odparował cios. Próbowałem podejść go sztychami zwodzonemi; niedźwiedź się nie ruszał. Wypadłem znów na niego błyskawicznym obrotem, w pierś ludzką byłbym ugodził niechybnie: niedźwiedź zrobił jeszcze krótszy ruch łapą i znów cios odparował! Byłem teraz niemal w położeniu młodego pana von G. Spokój niedźwiedzia doprowadzał mnie do pasyi. Zadawałem naprzemian cięcia istotne i zwodzone, pot oblał mnie całego: daremnie! Niedość, że niedźwiedź odbijał wszystkie me ciosy niby pierwszy na świecie szermierz; co więcej, sztychów zwodniczych — w czem żaden szermierz na świecie naśladować go nie zdoła — wcale przyjmować nie raczył: stał oko w oko, jak gdyby duszę z oczu moich czytał, z łapą do ciosu gotową, a gdy me cięcia nie były zadawane naprawdę, nie ruszał się wcale.

Czy pan da temu wiarę?

Najzupełniej! przyświadczyłem mu radośnie: takie to

prawdopodobne, iż uwierzyłbym każdemu obcemu, a cóż dopiero panu!

Otóż, przezacny mój przyjacielu, rzekł pan C., posiada pan wszystko, czego potrzeba, by mnie zrozumieć. Widzimy, iż w świecie organicznym wdzięk przejawia się tem promienniej i wspanialej, im refleksya ciemniejszą staje się i słabszą. Atoli, jak przecięcie się dwóch linij po jednej stronie jakiegoś punktu, przeszedłszy przez nieskończoność, po drugiej naraz stronie się znajduje, lub jak obraz w zwierciedle wklęsłem, odbiegłszy w nieskończoność, znów ukazuje się nagle tuż przed nami: tak wdzięk przejawia się znowu, gdy świadomość przejdzie niejako przez nieskończoność; przeto najczystszym wydaje się on, jednako, w takim ciałokształcie ludzkim, który świadomości zgoła nie ma, lub w takim, który posiada nieskończoną, to znaczy, w manekinie lub też w Bogu.

Zatem, odezwałem się z pewnem roztargnieniem, musimy znów pożywać z drzewa Świadomości, by do stanu niewinności powrócić?

Bez wątpienia, odrzekł mi na to: to ostatni rozdział historyi świata. —

PRZEŁOŻYŁ Y. Rz. Henryk von Kleist.

Legendy tęsknoty.



I.

BAŚŃ O RYCERZU PAŃSKIM.



W pierwszych latach mojej młodości trawiła mnie gorączka rozkoszna, złota, rzekłbym — seraficzna, uskrzydlająca duszę ekstazą, podobną w swej istocie do najpiękniejszej ze wszystkich śmierci: do śmierci jasnowidzących.

Skutek to zbyt płomiennych marzeń, których przesilenie jest jakoby zmartwychwstaniem duszy ku nowym próbom wcieleń ziemskich.

Czułem w skroni pulsowanie nieznanych mi dawniej istnień, czułem w oczach rozszerzenie się źrenic ku pochwyceniu zjawów, poza osłoną wzroku utworzonych, i czułem dziki, radosny tryumf duszy, oczyszczającej w ogniach zaświata powłokę cielesną!

Ozdrowiałem nagle, w chwili, kiedy południe wybiło na niebiosach godzinę rozpiętego w przestworach milczenia. Lecz ozdrowiałem niezupełnie: straciłem pamięć przeszłości, straciłem cień, który pada od naszej postaci na tło minionych lat, — cień, bez którego nie jesteśmy sobą...

Powoli i stopniowo jąłem uczyć się na pamięć tej utraconej przeszłości — z listów wypłowiałych i opowiadań matki, — i z własnych nagłych objawień i uprzytomnień. Uczyłem się na pamięć dawniej przeżytych wydarzeń i bólów, — i niegdyś widzianych kwiatów, uczyłem się na pamięć gwiazd i pieśni, i szumów polnych, i jęków fal, i drzew, spotykanych ongi po drogach i lasach, i słodkich imion kobiecych, i nazwisk strumieni błękitnych... A tak, wracając wstecz ku odległym wiosnom i zimom, zbierałem rozsianą po świecie duszę, aby znów stworzyć siebie— w ziemskich złudzeniach.

Alem wciąż jeszcze nie mógł przypomnieć tego, co mnie najbardziej trwożyło nieodpartym rozkazem tęsknoty. Aż pewnej nocy przypomniałem wszystko! Przypomniałem nagle obecność Boga w niebiosach!

I pomyślałem, że jako dziś moja matka, tak kiedyś On przywróci mi pamięć innej, poprzedzającej istnienie ziemskie, przeszłości, przywróci mi cień, który pada od duszy naszej na pustynię prabytu, — cień, bez którego nie jesteśmy sobą!..

Wśród tych zawrotów ku zmroczonej przeszłości, wśród poszukiwań tego, co, mijając, niezupełnie minęło, — ocknąłem w sobie wspomnienie, a raczej opowieść wspomnienia, jedną z tych opowieści, które chętniej od ludzi schodzą w mogiły ukwiecone.

Nie wiem, czyli ta opowieść była rzeczywistem, na pamięć przywołanem zdarzeniem, czyli tworem majaczeń gorączkowych, czyli też snem, co winien był się wcielić,

gdyby go wicher nie porwał i nie przerzucił na jakąś gwiazdę wirującą.

A może—wysnuła się ona z głębin mojej niepamięci...

Leżała wieś nasza wśród jarów tajemniczych i sadów zapuszczonych. Opary błękitne i mgły purpurowe wznosiły się ponad nią, niby wyziewy rozkładającej się w powolnych skonach baśni. Wieczorem — rechot żabi i wrzask gawroni rozdrażniał czujne powietrze muzyką, wywołującą w oczach wizye sztywnego tańca snów, obciążonych wonią ziół i kwiecia.

Zaś po nocy, przy księżycu, tysiące strumieni błyskały w prześwietlonem zmroczu sadów, jaskrawiąc się złudnie i migotliwie. Zdawało się, iż wzajem w niepochwytnych okamgnieniach zamieniają się na swoje różnokształtne zwierciadła, przerzucając się niemi nieustannie wskroś gęstwy liści i gałęzi.

Wieś głucha była i samotna. Wokół — jak okiem cisnął — żadnej osady, żadnej przystani. Kto się wysunął za kołowrot, widział jeno step bezkreśny i widnokręgi, w oczach chodzące od zbyt długiego patrzenia. Zresztą— pustka i tęsknota, co nigdzie miejsca dla siebie znaleźć nie może. Tęsknota od ziemi, — aż do błękitu!..

Jeno w oddali, w nieprzejrzanej szczelinie widnokręgów, majaczył bór na wysokościach tęsknoty, bór — niedoskoczony.

Nikt nigdy nie był w jego cieniach, nie zaglądał do jego wnętrza, nikt nawet w myśli nie śmiał błądzić po niezwiedzonych jego bezdrożach. A ktokolwiek zbliżyć się doń zapragnął, — mógł iść bez końca, życie całe, —

a zawsze miał go przed sobą w jednakiem niedosiężeniu, w śnie widnokrężnym.

Czasem tylko, po nocy, szły z boru szumy na wieś spomroczoną. Budzili się wtedy ludzie z nagłą modlitwą na ustach, czując i rozumiejąc, że Bóg po wsi naszej chodzi i do chat zagląda...

Czczono ten bór zdaleka, bo święty był...

Mówiono, że trwają w jego mrokach rycerze — wojownicy boży — w strojach przezłotnych, na rumakach białych. Gdy chwila nastaje, pędzą szlakiem powietrznym, do boju zjawieni. Powietrze tętni, a oni giną w niebiosach.

Hufy Pańskie, bronią Boga na ziemi.

We wsi naszej odpust był majowy, w dzień świętych rycerzy.

Dwór naszego dziedzica stał na wsi okraju i grążył się w zawiłych ugłębieniach bujnej zieleni, a u stóp miał — jezioro.

Jezioro niewielkie było, w pierścień brzegami ujęte, i tak przezrocze, żeś dno złociste widział tuż pod błękitną powierzchnią. Jedno z tych jezior, w których się odbywa nieustanne wytwarzanie czaru i tęsknotu. Jedno z tych jezior, które uczą marzyć i pozostawiają na oczach ślad jakoby od dotknięcia samego dna, nadającego im mocą samozaprzeczeń — urok bezdeni... Po oczach poznasz tego, co dłużej w ich tonie zazierał...

Po oczach poznasz córkę dziedzicową, że niejeden sen nad jeziorem wyśniła, że niejedno pragnienie mgliste wyprzezroczyła w jego fali!

Córka dziedzicowa — czarnobrewa i błękitnooka — zdawna czuła w duszy płomiennej a dziewiczej przemiany cudowne ku miłowaniu na wieki, — i na sto mil dokoła swych marzeń szukała, kogoby ukochać! I taka — poszukająca — jedna jedyna we wsi naszej zbłądziła myślą

aż do boru, i zadumała się o jego wnętrzu niepoznanem, i zadumała się o jego rycerzach konnych.

W pomroczach jej zadumy płonęły oczy rycerskie, błyskały tarcze złote, dymiły miecze ogniste, i czyjeś usta szeptały, — i czyimś piersiom brakło tchu w pomroczach jej zadumy.



I czuła, jak się jej dłonie przepajają mocą czarów, mocą przywoływań. Aż je pewnej nocy z nad jeziornej otchłani wyciągnęła marzeń obyczajem — w niepojętość, ku borowi, co rozkwitał widnokrężnie.

I tak stała, niespokojna i niepokojąca, wyciągnięciem wonnych dłoni połączona z dookolnemi tajemnicami gwiazdozbiornej nocy. Nieświadoma własnej potęgi, czarowała kogoś dalekiego, niewidzialnego, poza sobą, poza jeziorem, poza wszystkiem, co jest utwierdzone na ziemi!

Niespokojna i niepokojąca, ujrzała nagle, jako z boru świętego głębiny, wywabiony jej wzrokiem, niby pieśnią

zdala słyszalną, wynurzył się wid jakowyś, w rozwachlarzeniu miesięcznego pobrzasku jaśniejący, — i szedł ku niej, ku jezioru i ku wszystkiemu, co jest utwierdzone na ziemi... Szedł uśpiony, lunatyczny, nieodparty...

A wtedy zaszumiał bór, zaszumiał groźnie! Zadrżała wieś w swoich tajemniczych posadach! Ocknęli się ludzie z modlitwą nagłą na ustach i z przerażeniem w źrenicach, bo widzieli we śnie Panią z dłońmi wzniesionemi, i noc, księżycem zażegniętą, — i widmo, z boru wywołane, widmo idące...

A córka dziedzicowa zemdlała wonczas na brzegach jeziornych!

I znowu dziwne obrazy wysnuwają się z głębin mojej niepamięci...

Od owej nocy zemdlenia, — zjawiła się we wsi naszej chata nagła, wśród sadów czereśniowych, a w niej samotnik, nikomu niewiadomy.

Piotr Władyka było mu na imię. Sam siebie tak nazywał. Groźny był i olbrzymi, jakby nie na ziemi i nie dla ziemi zrodzony. Trudno go było pojąć i odgadnąć. Sam sobie był niepojęty... Nie znał swego przyjścia, ani zjawienia. Nie pamiętał przeszłości, z której się wynurzył na wybrzeże dnia dzisiejszego. W oczach miał jakoby północ wiekuistą, północ umówioną, północ przeczuwanego spotkania... Potężny a dumny, gdy szedł przez wieś, — postrach budził dokoła nieokreślony. Nieludzką miał siłę i nieludzką duszę, złemu zaprzedaną. Do kościoła nie chadzał, na bór święty pozierał ukosem, o Bogu zapomniał, a ludźmi gardził.

Nikt nigdy nie był we wnętrzu jego chaty zjawionej, nie zaglądał do jej okien, nie pukał do drzwi jej nie-

gościnnych. Omijano ją zdala, żegnając się pośpiesznie, bo niewiadomo było, kto za chwilę wyjrzy z okien tej chaty, tającej we wnętrzu dzieje nietutejsze...

Stało się to dawno, za czasów pierwszej mojej pamięci, którą utraciłem, zyskując drugą, pełną nieziemskich objawień.

Nie mogę już sobie przypomnieć, jaki grzech, jaką zbrodnię przeciw niebu popełnił Władyka. Pamiętam tylko chwilę, kiedy wieść po ludziach gruchnęła, że Władyka wyklęty jest z kościoła i na wieki pozbawiony ciała i krwi Pańskiej.

Odtąd coraz gęstsze opary i mgły purpurowe kłębiły się nad otchłaniami wsi naszej. Bór święty szumiał złowieszczo. W zwierciadłach strumieni widywano czasem po nocy odbicia rąk załamanych, świetlistych, niewiadomo czyich. Załamywały się na fali i opadały na dno, jakby pragnąc swą boleść i swoje załamanie utopić w strumieniach.

Wonczas podnosił się od brzegu cień przejasny, bezręki i, wniebowstępując, ginął w gwiezdnych bezgraniczach.

A w mrocznym sadzie Władyki czereśnie nie białem, jeno czarnem osnuły się kwieciem.

Jedna tylko córka dziedzicowa domyślała się i nie domyślała tajnego znaczenia niepojętych cudów... Jedna tylko córka dziedzicowa chciała i nie chciała powiedzieć Władyce, zkąd przyszedł i dokąd zaś ma powrócić... Coraz bledsza i trwożniejsza, tłumiąc pragnienia szaleńcze, szeptała niejasne, obłąkane, grzechem zmącone modlitwy za siebie, za jezioro błękitne, i za wieś, cudami trawioną, i jeszcze jedną za bór na widnokręgach, i ostatnią za wszystkich rycerzy Pańskich!..

Modliła się i unikała brzegów jeziornych.

Unikała, dopóki nie nastał wieczór, wśród tysiąca innych dla spotkania dusz dwojga wybrany! Wtedy

wyszła Pani czarnobrewa nad brzegi jeziorne i po drugiej stronie ujrzała Władykę. Ten sam go wieczór do tegoż przywlókł jeziora! Stał, olbrzymi, niedaleki, potępiony od stóp do głów, Bogu i ludziom niemiły! A w oczach miał północ umówioną, a w ustach — czar i rozchylenie do pocałunku. Wyklęty był i upragniony wśród kwiatów, tam — nad jeziorem.

Stali tak oboje, bezwiedni i czujni, przeznaczenia wyczekując i znaku we wszechświecie.

Więc kiedy księżyc wysrebrzył w niebiosach północną godzinę, ocknęła się Pani czarnobrewa do przeznaczeń swoich i, niby wicher, przed się patrzący, biegła wpobrzeż pierścienia jeziornego ku Władyce, aż jej ten pierścień w oku się zazłocił, niby ślubny...

I księżyc widział dwa ciała grzeszne, szamotane rozkoszą, skute w uścisku, w jeden obłęd rzucone.

Parna woń ziół i kwiecia dusiła dwa gardła, zachłyśnięte upojeniem. Noc gorąca chłonęła dwa płomienne oddechy — dwie róże mistyczne, z piersi wywionięte. A dokoła migały świetlaki, niby latarki tajemnicze, przyświecające słodkiemu grzechowi.

Widział to księżyc i nikomu tego nie powiadał.

Lecz wyśledził dziedzic tajemnicę księżycową... I wypędził z progów swego domu córkę pokalaną, i cisnął przekleństwo na jej głowę, na oczy, na brwi czarne, na dłonie rozkoszą jeszcze obciążone.

Opuściła Pani czarnobrewa ojca i dom rodzinny, a poszła za Władyką na zgubę, na wieczność.

Pamiętam, jaki czar i zaklętość otoczyły chatę Władyki, gdy w niej zamieszkała ta Pani, grzechem opętana. Pamiętam, jak, kryjąc się przed okiem Boga i ludzi, nie objawiała się nawet na progu, nawet we drzwiach, nawet koło okien.

Tylko raz, wyczekując Władyki, wysnuła się z wnę-

trza przed chatę, aby go wypatrzeć, przynaglić, wyczarować z widnokręgów...

Stanęła wiotka i smukła, klejnotami wpodłuż wyświetlona, różowym zmierzchu obłokiem, jak tarczą marzeń, osłonięta.

Począł się tłum zbiegać dokoła, — patrzał na zjaw cudowny. Zrazu milczał ponury, widokiem nieziemskim onieśmielony. Milczał, i wahał się, i kołysał, jak morze, piersi do ryku prężące. Aż zawarczał, zaryczał i, skłębiony, jął się zbliżać do zjawu.

Wyklętemu się oddała, ustami jego shańbiona!

I ryczał tłum, i miotał obelgi, przekleństwa i groźby!

Pani trwała nieporuszona, coraz bardziej podobna do snu proroczego, który słońce, zachodząc, pragnie zatrzymać w gasnącej zwolna pamięci.

I w on sen, by go rozproszyć, ugodził nagle kamień, wzgardliwie syczący, — a za nim drugi i trzeci... I zagrały kamienie w powietrzu, jak stłumione krzyki! Zdawało się, iż, dolatując do Pani, w róże się zmieniają. Ale to nie róże były, jeno krwi krople. I krwią zbroczona, zwątpiwszy o wybawieniu, szukała oczyma śmierci.

Lecz oto zamilkł tłum cały i zdrętwiał w przerażeniu. Władykę zobaczył. Szedł Władyka, jakoby go otchłań piekielna na tłumy wyzionęła. Rozstąpiły się przed nim, czekając trwożnie, co pocznie w gniewie swoim.

Lecz on na nikogo nie spojrzał, do Pani czarnobrewej naglił, ujął ją w ramiona potężne, przycisnął okrwawioną do piersi szerokiej i tak ją poniósł w dal, rzekłbyś — w nieskończoność iść z nią zapragnął.

Padał od niego na ziemię cień wielki, konny, uzbrojony, o lat tysiące starszy od samego Władyki, i jakoby dążący we światy przezeń zapomniane...

Odtąd nie widziano go czas długi.

Tylko nazajutrz we wsi naszej nie stało chaty Wyklętego. Jak nagle powstała, tak nagle znikła bez wieści, bez śladu...

Odtąd nie widziano go czas długi.

I znowu dziwne obrazy wysnuwają się z głębin mojej niepamięci. Widzę powrót Władyki! Widzę jego skarby zaklęte, od których blasku ślepną oczy ludzkie. Drży wieś nasza, tętnią strumienie, huczą jary, zasłyszawszy o jego powrocie!

A z wieżycy kościelnej dzwon runął na ziemię z jękiem konającego anioła!

Dziedzic nasz zdawna w grobie leżał. Zawładnął Władyka wsią naszą i zamieszkał w domu dziedzicowym, po nad jeziorem czarownem.

Widzę tę noc, co po stopniach ciszy z księżycem w dłoni schodzi z niebiosów na ziemię. Noc, wiecznie schodząca. Noc, snu pozbawiona.

I widzę, jako Pani czarnobrewa w oknie rozwartem wystawa i na jezioro pogląda. A za jeziorem — wieś, we mgły spowita, w sadach zatopiona — porusza się, rozwiewa, w jakoweś kształty i bezkształty układa się ruchome, majaczeń pełna, księżycowem światłem porażona! Rzekłbyś — nie na ziemi, jeno w bezmiarach dłonią tęsknoty zbudowana.

W komnacie Władyki jarzą się skarby zaklęte, płoną myśli grzeszne, szepcze Pani czarnobrewa:

— „Idzie noc niespokojna. Staje się coś dokoła... Ponad wsią trwoga się moja unasza... Jest ktoś, co chce mi ciebie odebrać. On jest wszędzie... Jemu cię oddać

muszę! Ja i on znamy twoją tajemnicę, a noc już idzie niespokojna...“

— „Mów mi, Pani moja, czemuś blada? Gdy bór szumi, szepczesz słowa, których nie dosłyszę. Powiedz mi te słowa teraz, w blasku skarbów zaklętych!“

— „Nie powiem ci tych słów, bo nie moje... Gdy bór szumi, — moc tajemna każe wszystko tobie powiedzieć... Nie ja wtedy szepczę, lecz coś we mnie! Nie pytaj mnie o te słowa... Gdy bór szumi, — boję się stracić skarb mój najzłotszy — nie zaklęty, jeno wyklęty“...

— „Mów mi, Pani moja, co znaczy sen mój wczorajszy? Widziałem dłonie czyjeś, w przestrzeni wyciągnięte, a z tych dłoni wybłyskiwała w promieniach różowych potęga utajona. Różowe płomienie wsączyły się do boru mrocznego, a z boru wyszło widmo i ustami czyichś ust szukało... Ocknąłem się, jakbym chciał coś przypomnieć, a nie mógł... Wytłómacz mi sen mój wczorajszy.“

— „Nie wytłómaczę ci snu wczorajszego, bo był on mniej, niźli jawą, — więcej, niżeli snem... Niejedno widmo wychodzi z boru, ale nie każde powraca... Niejedne są dłonie o promieniach różowych... Są gwiazdy, które mnie lękają, — są mroki, które mnie trwożą!“

— „Mów mi, Pani moja, kto cię lęka i trwoży? Rozkażę, a w pył się rozwieje, skinę — a prochem się stanie w księżycu. Własną cię piersią przed wszystkiem, co czyha, obronię!“

— „Broń mnie!“ szepcze Pani, i nagle tuż pod szyją łabędzią rąbek jej szaty się odsłania i coś złotego tam błyska.

Krzyż złoty błysnął z pod obsłony... Spojrzał Władyka w ono błyśnięcie, spochmurniał, nic nie rzekł.

Zrozumiała Pani jego milczenie, krzyż z piersi zerwała i przez okno cisnęła do jeziora jak błyskawicę skróśnocną!

Upadł krzyż na sam środek roztoczy, lecz nie tonie... Na fali się trzyma — topielec złoty — i jarzy się i rozjaśnia głębię jeziorną, aż dno widać i ciszę ze dna idącą... Stoi jezioro w mroku — widzialne, znieruchomione, światłością wiekuistą przejęte.

Straszno w niem teraz łódź rozkołysać, straszno siecią badać głębinę!

Odwrócił się Wyklęty od okna, nie patrzy, nie zaziera.

A światłość z głębi jeziornej do komnaty wpływa i rozwidnia skarby zaklęte, aż się poruszają w roziskrzeniu złotem, niby żywe... Poruszają się, i kłębią, i wiją, w czarach bolesnych!

Wciąż odwrócony — pyta Władyka swej Pani:

— „Czy już zatonął?...“

A ona wyjrzała w oścież okna ku jezioru i rzecze drżąca:

— „Nie jeszcze....“

I serce bije w jej piersi, i bledną usta rozchylone, jakby wyszeptać chciały dręczącą, a straszną tajemnicę. Lecz milczą, nic nie mówią. I milczy jezioro, i milczy topielec złoty... Jeno Władyka woła nagle, do obłędu wielkiego podobny:

— „Jest we mnie moc, gdy ją natężę, zmuszę go, aby zatonął!“

I zatonął nagle krzyż złoty! Pociemniało jezioro. Zawył bór na widnokręgach. Zakłębiły się chmury. Zawarczały otchłanie. Wypadła burza z niebiosów, jak śmierć nagła, a niespodziana! Zaryczał piorun, purpurą ziejący, jakoby krwią Pańską gardło miał zalane, — i zbroczył dom Władyki!

Spłonął dom ogniem rubinowym, niezwykłym, majaczącym niby w przeszłości, w mgławicy wieków za-

mierzchłych! Łuna drapieżnym płomieniem wżarła się w chmur kłęby i zczerwieniła wieś otchłanną, rzekłbyś: noc szkarłatna!

Zbiegła się wieś na znak ognia, zbiegła się i patrzy: dom nad jeziorem, grozą pożaru objęty, wije się ku niebu spienionemi bałwanami spurpurowiałego dymu, wije się, kłębi, dyszy, rozpada się potwornie i porusza szkieletem rubinowym, jakby chciał się wyrwać z dławiących ognia uścisków!

Nikt nie chce ratować Wyklętego, nikt nie chce nieść mu pomocy. Nie widać go ani w płomieniach, ani poza płomieniami! Aż oto z drzwi, ogniem opłyniętych, wynurza się postać jego, straszna, olbrzymia, w szkarłatach łuny czerniejąca. Na ręku dźwiga skarb swój jedyny, swoją panią czarnobrewą, zemdloną, bezwładną. Wzgórę ją wznosi i woła;

— „Spaliłeś mój dom, ja bór Twój spalę ogniem za ogień!“

I głos jego grzmi, jakby piorunem na piorun Bogu odpowiadał! To już nie płomień pożaru łuną ugodził we chmury, lecz duch Wyklętego przewiał po nich od końca do końca! Ognie piekielne tam rozżarza, trwogą szarpie niebiosy!

I znowu dziwne obrazy wysnuwają się z głębin mojej niepamięci.

Widzę, jak wieczór jasny różowi drzew wierzchy i na brzegi obłoków kładzie znikliwą pozłotę. Jasny wieczór drogę pylną wybłękitnia i fioletową ciszą powleka strumienie. Kto ma w duszy tajemnicę, niech ją wyzna jasnemu wieczorowi, — kto nie ma — niech zdobędzie!

Widzę, jak Władyka — niegdyś, przed laty — wraz z Panią trwożną idzie drogą a bezdrożem ku borowi.

Był wonczas dzień odpustu, dzień świętych rycerzy.

Idzie drogą a bezdrożem ku borowi, ku nieznanemu. Nikt nigdy nie był w jego cieniach, nie zaglądał do jego wnętrza, nikt nawet w myśli nie śmiał błądzić po niezwiedzonych jego bezdeniach. A ktokolwiek zbliżyć się zapragnął, mógł iść bez końca, życie całe, a zawsze go miał przed sobą w jednakiem niedosiężeniu, — w śnie widnokrężnym! Lecz wielką jest potęga Władyki! Zmniejsza się przestrzeń tajemnicza pomiędzy borem a Wyklętym — pomiędzy borem a Panią trwożną... Zorza ogarnia ziemię całą, a oni — już poza ziemią zbliżają się — niegdyś, przed laty — zbliżają się do boru groźnego. A bór, coraz groźniejszy, w oczach im olbrzymieje, — i w oczach, i w duszach, i nad obłokami!

Dęby, do dębów niepodobne, nieskończonością konarów nieskończoność przesłaniają. Mrok z wnętrza zieje odwieczny, i w mroku tym czuć zdala obecność mnogich rycerzy, niby obecność piorunów, jeszcze nie zbłyskawiconych!

Szumią dęby nad przepaściami, pokłon biją Władyce:

— „Posłuchaj, Władyko, naszych szumów! Zrozum, Władyko, szumy nasze...“

Nie słucha Władyka, nie rozumie. Dłonie wyciąga i mówi:

— „Ogień przejdzie po borze, w popiół dęby obróci, na popiołach zamek wyniosę, złoty zamek dla Pani całującej!“

— „Nie czyń tego!“ szepcze Pani trwożna — „otom ja winna przed tobą, a dęby pokłon ci biją, i On sam zdawna cię już ukochał!“

— „Kto?“ pyta Władyka.

— „Bóg!“

I echo tego słowa bór w stu piorunach powtórzył stokrotnie!

A Pani trwożna drży, jak lutnia, siedmiostrunnym lękiem w siedem bezmiarów rozpięta! I woła — niegdyś, przed laty — głosem innym, nieswoim, jakoby z boru wychodzącym:

— „On kocha ciebie — Wyklętego! Kocha potęgę twoją, i dumę, i grzeszne twoje serce! On nad tobą dłonie w bólu załamywał, które w strumieniach widziano. On kazał czereśniom żałobę przywdziać po swym panu, i dom twój zniszczył, abyś nie na ziemi domu swego szukał!.. On do stóp ci dzwon cisnął z wieżycy kościelnej i wabił cię krzyżem nietonącym na fali! I ścigał cię, ścigał po ziemi całej, ścigał piorunem i ogniem pożarnym, i mną — mną, która idę za tobą przez życie! Tyś z Jego rozkazu mnie grzeszną i trwożną, jako modlitwę wznosił



ku niebu w kłębach dymu i ognia! Modlitwą jestem potępionego, i bez ust twoich czułam się, jakoby niewymówioną i niewyszeptaną ku Bogu! I teraz z jego rozkazu, głosem, który mię boli, wołam do ciebie: Rycerzu Pań-

ski, grzechem obłąkany, gdzie rumak twój biały, gdzie tarcza złota, gdzie miecz ognisty?“

I zamilkła Pani, głosem nieznanym mówiąca, zamilkła i oniemiała na wieki! Jeno bór echem powtórzył:

— „Gdzie rumak twój biały, gdzie tarcza złota, gdzie miecz ognisty?“

I przypomniał Władyka wszystko, i z objęć Pani oniemiałej rwał się ku borowi. Wonczas ona poraz ostatni, dłońmi zarzuconemi na szyję zatrzymała go na samych progach wieczności! I chciała go puścić, i nie chciała! I pragnęła go stracić, i nie pragnęła...

A on — zatrzymany — błądził myślą we wspomnieniu — i we wspomnieniu zazłociło mu się coś, zamigało, zatętniło...

Zamigało, zatętniło, zazłociło się za drzew kolumnami. I wypadł z boru głębiny huf rycerzy, niby sen zbrojny i strojny. Pędzą rumaki białe, ogromne, niewstrzymane. Pędzą w szyku bojowym. Od tarcz złotych, od mieczów ognistych brzask się czyni w całej nieskończoności, brzask tajemniczy! Suną rycerze, cisi, letargiczni, niezliczeni, niezgadnieni! Suną w dzień odpustu — niegdyś, przed laty... A wśród nich rumak jeden biegnie bez jeźdźca... Zoczył go Władyka i zrozumiał, czyj to rumak samotny...

Zbliżają się rycerze do Wyklętego, zbliżają się ich twarze zadumane, zbliżają się ich tarcze złote, zbliżają się miecze dymiące...

Pochylił Wyklęty głowę i szepnął:

— „Niech będzie pochwalony...“

Wonczas pierwszy z rycerzy na przedzie z rumaka pokłonem go powitał i głosem surmowym, jakoby zwiastującym w nieskończoność zwycięstwo wiekuiste, zawołał:

— „Na wieki!“

A za nim drugi i trzeci — i huf cały przywtórzył chóralnie:

— „Na wieki!“

I przejeżdżali rycerze koło Władyki, i jeden za drugim unosili się konno w powietrzu, zbroicą groźnie połyskując. Jeden za drugim wpływali w obłoków zawrotne doliny. W onych dolinach — niegdyś, przed laty — niecąc kurzawę złocistą, znikli w błękitach poza dolinami!

Padł Wyklęty na ziemię i duszą zionął w bezmiary! Jeno rumak biały, wierny, został przy nim, niby odłam snu, zniknionego w niebiosach, — i nad jego zwłokami, z nogą do biegu wniesioną, kamieniał zwolna w posąg nieruchomy... A Pani trwożna uklękła nad Władyką, niby jego modlitwa pośmiertna, już niema, a jeszcze nie wysłuchana!

Odtąd niejedna zorza zgasła, niejedna gwiazda zapaliła się w niebiosach, a ta Pani, w milczeniu klęcząca nad grzesznym trupem rycerza Pańskiego, trwa dotąd w głębiach mojej niepamięci!

Bolesław Leśmian.

MIŁOŚĆ.

OSOBY:

NIESZCZĘŚLIWY.
SZCZĘŚLIWY.



AKT PIERWSZY.

Późny wieczór. Czarne chmury. Korony drzew niewidzialne, słychać tylko jak gdyby poszum morski, gdy wiatr śród nich przeciąga. W dole, na ziemi, szelesty i szmery w krzewach trącanych powiewem. Dwa oświetlone okna, niby oczy osłupiałe wytrzeszczone w ciemność. Domu samego nie widać.

Skrzyp drzwi otwieranych ostrożnie. Żadna smuga światła nie pada przez szparę. Nieco później, przyciszone kroki po żwirze. Potem, wycie wiatru. Naraz chrzęst liści i trzask gałęzi. Dzikim skokiem rzuca się ktoś w gęste zarośla. SZCZĘŚLIWY chwyta coś obu rękoma. Paznokcie jego wpijają się w to coś kurczowo.

SZCZĘŚLIWY.

Kto jesteś? Nie chcesz, łotrze, wykrztusić nazwiska? A ja muszę je wiedzieć. Wytrzęsę je z ciebie, jak się owoce z drzew otrząsa. — Złodzieju! Łajdaku! Opryszku! — Nazwisko, prędzej, mówię ci! — Nie chcesz? — i nie próbujesz nawet uwolnić się z mych rąk — nie jękniesz ani razu — więc zaduszę cię, nie wiedząc, kto jesteś! Złodzieju! Nieszczęśniku! — (Puszcza go i mówi cicho:) Jednego znam

tylko człowieka, który zdoła tak ani drgnąć, gdy ktoś mu krtań ściska. Więc to ty j e d n a k.

NIESZCZĘŚLIWY.

Wiedziałeś to przecie odrazu.

SZCZĘŚLIWY.

Wiem od lat pięciu, że, jeśli kto w ciemną noc włóczy się koło domu i kryje śród zarośli, to ty nim być musisz. — Alem się mądrze wziął do rzeczy, nieprawdaż? Przyłapałem cię niespodzianie, — łotrze!

NIESZCZĘŚLIWY.

Widziałem cię oddawna, przez cały czas. — Twoją twarz białą, gdy tam w ciemnym pokoju, na prawo od werandy, do szyb ją przycisnąłeś — drzwiczki boczne, gdyś je uchylał i wykradał się do ogrodu —

SZCZĘŚLIWY.

I nie uciekłeś?

NIESZCZĘŚLIWY.

Nie.

SZCZĘŚLIWY.

Musisz być bardzo odważny?

NIESZCZĘŚLIWY.

Nie bałem się nigdy.

SZCZĘŚLIWY.

Mógłbym cię był zdusić.

NIESZCZĘŚLIWY.

Ale-ś tego nie zrobił. Czy mamy rozmawiać dalej, czy też rozejdziemy się?

SZCZĘŚLIWY.

Pójdź może tam bliżej do światła, abyśmy mogli rozeznać wzajemnie swe rysy?

NIESZCZĘŚLIWY,

Jak chcesz.

SZCZĘŚLIWY.

Ja — ja — nie chcę twoich widzieć.

NIESZCZĘŚLIWY.

Jak chcesz.

SZCZĘŚLIWY.

Oddalmy się od domu. Tam na samym krańcu ogrodu jest ławka. Uważaj, gdzie stąpasz! Poprowadzę cię! Znam tu krok każdy.

NIESZCZĘŚLIWY.

Ja także.

SZCZĘŚLIWY.

Zatem nie pierwszy raz. Od jak dawna?

NIESZCZĘŚLIWY.

Od tygodnia dopiero. — No, o mało-ś się nie potknął.

SZCZĘŚLIWY.

Ledwie można ścieżkę odróżnić od murawy.

NIESZCZĘŚLIWY.

Moje zmysły przywykły do ciemności. Ja widzę zieleń traw.

SZCZĘŚLIWY (idąc).

Tu wielka grzęda róż.

NIESZCZĘŚLIWY.

Poznaję zapach.

SZCZĘŚLIWY.

Tu rosną gwoździki.

NIESZCZĘSLIWY.

Zerwałem jeden — czerwony — zauważyłem go za dnia.

SZCZĘŚLIWY.

W tym kierunku stoi akacya.

NIESZCZĘŚLIWY.

Wiem. Dotknąłem którejś nocy ręką jej liści i poznałem je po kształcie.

SZCZĘŚLIWY.

Zamilcz!

NIESZCZĘŚLIWY.

Skręciwszy za ten róg, będziemy u ławki.

SZCZĘŚLIWY.

Zamilcz! Zamilcz! — (Siada). Tuśmy bezpieczni i niewidzialni.

NIESZCZĘŚLIWY.

Tak, tu możesz być spokojny — tu nie zobaczysz mej twarzy.

SZCZĘŚLIWY.

Posiwiałeś?

NIESZCZĘŚLIWY.

Z tęsknoty.

SZCZĘŚLIWY.

A ja nie zmieniłem się.

NIESZCZĘŚLIWY.

Spostrzegłem odrazu, żeś pobielał cały.

SZCZĘŚLIWY.

Czy możesz dostrzedz i moją twarz?

NIESZCZĘŚLIWY.

Postarzała.

SZCZĘŚLIWY.

Tak — tak — cierpiałem tak strasznie.

NIESZCZĘŚLIWY.

Będziemy zatem rozmawiali? Czy mamy zacząć od początku? Od owego letniego dnia w alei, kędyśmy, dwaj serdeczni przyjaciele, ty młodzian lat dwudziestu czterech, ja dwudziestu trzech, dzień w dzień, od samego dzieciństwa, się przechadzali? Żaden z nas nie mógł się jej wyrzec, żaden z nas nie chciał się jej wyrzec — jej — jej! Ja byłem pierwszy; zwierzyłem ci się ze swych marzeń — toć wówczas zwierzałem ci się ze wszystkiego. Wtedy dopiero otworzyły ci się na nią oczy — przedtem nie byłbyś jej zauważył. Czy pamiętasz jeszcze, jak-em ci rzekł, tam, w alei, że niechaj ma ją ten z nas, który ją pozyskać zdoła? Chcieliśmy postępować uczciwie jeden względem drugiego, chcieliśmy pozostać przyjaciółmi.

SZCZĘŚLIWY.

Tego-śmy nie zdołali.

NIESZCZĘŚLIWY.

Tego ty nie zdołałeś. Ale — walczyć chcieliśmy — ten miał ją posiąść, kto ją wywalczy.

SZCZĘŚLIWY.

Nie wywalczył-żem jej?

NIESZCZĘŚLIWY.

To też należała do ciebie.

SZCZĘŚLIWY.

Ale ty — usunął-żeś się z naszej drogi?

NIESZCZĘŚLIWY.

Ja? Toć ciągle jeszcze mogę ją zdobyć.

SZCZĘŚLIWY.

Ścigasz nas.

NIESZCZĘŚLIWY.

Nie. Idę tylko za wami — czekam.

SZCZĘŚLIWY.

Na co?

NIESZCZĘŚLIWY.

Gdybym nie miał w to wiary, nie żyłbym dawno.

SZCZĘŚLIWY.

Jakżeś nas tu odnalazł?

NIESZCZĘŚLIWY.

Uganiałem się po całym świecie, zaglądałem przez najwyższe mury i najgęstsze zarośla miejsc samotnych.

SZCZĘŚLIWY.

I całe te lat pięć tropiłeś nasze ślady?

NIESZCZĘŚLIWY.

Od owego wieczora. Przez pierwsze dwa lata od

chwili, gdy twoją została, widywałeś mię tak rzadko, jak rzadko widuje się chaber na wydmie piaskowej. Ale nic nie uchodziło mej baczności, bo stróżowałem oczyma, przed któremi nic ukryć się nie może. I później powiedziałem ci — czy pamiętasz to jeszcze? tego samego wieczora? — że straciłeś ją znowu, i że odtąd prawem słuszności nie jest ona już twoją! — Nazajutrz wyjechaliście nagle — a ja przypomniałem sobie, jak-eś zadrżał, gdym ci to mówił.

SZCZĘŚLIWY.

Przecież ja ją zdobyłem. Przecież ja ją zdobyłem!

NIESZCZĘŚLIWY.

W chwili upojenia, które pierzchło, gdy oczy jaśniej patrzeć zaczęły.

SZCZĘŚLIWY.

Silną masz wiarę.

NIESZCZĘŚLIWY.

Bez niej, nie żyłbym.

SZCZĘŚLIWY.

Nie wymówiła ani razu twego nazwiska.

NIESZCZĘŚLIWY.

Ale-m za to ciągle w jej myślach.

SZCZĘŚLIWY.

Tak sądzisz?

NIESZCZĘŚLIWY.

I ty sądzisz tak samo! Gdyby nie to, czyżbyś się mnie lękał? Widzę cię, jak chodzisz w kółko, niespokojnie — obraz mój zwierciedli się w jej oczach, ilekroć spoj-

rzy na ciebie — a ilekroć mówi cokolwiek, ty słyszysz tylko odpowiadające jej dźwięki mojego głosu.

SZCZĘŚLIWY.

Widziałeś ją?

NIESZCZĘŚLIWY.

W myślach.

SZCZĘŚLIWY.

Ciągle jeszcze ta sama.

NIESZCZĘŚLIWY.

Tak, ciągle. I taka będzie zawsze. Ale te pięć lat posunęły ją o jakieś lat dwadzieścia.

SZCZĘŚLIWY.

Zkąd to wiesz?

NIESZCZĘŚLIWY.

Nie kochałbym jej chyba, żebym tego nie wiedział! Widzę jej spojrzenie, gdy oczy ma zamknięte, słyszę jej myśli, gdy nic nie mówi. — Powiedz, czemu ona przez sen się skarży?

SZCZĘŚLIWY.

Słyszałeś to?

NIESZCZĘŚLIWY.

Raz słyszałem rzeczywiście — wieczorem, w nocy — przez zamknięte okiennice — ale wtedy nie spała. Głos jej drżał, gdy się żaliła. Był to jakby przeciągły krzyk, złożony z mnóstwa małych! Ona jest chora.

SZCZĘŚLIWY.

Przyszło to na nią w ostatnich latach.

NIESZCZĘŚLIWY.

W ostatnich pięciu latach.

SZCZĘŚLIWY.

A powraca coraz częściej, coraz częściej. Ciało jej skręca się w kurczach. Na ustach pokazuje się piana — cierpi, cierpi — ach jakże ona cierpi! Wszystkiego próbowałem, zwoływałem lekarzy ze wszystkich stron świata —

NIESZCZĘŚLIWY (powstając).

Słyszysz! — Słyszysz? Znowu! Jakże ona jęczy! Czy nie możesz zwrócić jej wolności? Nie możesz?

SZCZĘŚLIWY.

Nie mogę.

NIESZCZĘŚLIWY.

Więc idź do domu, do niej! Głaszcz ją tylko po twarzy! Całuj tylko trwożne jej oczy! Podłóż ramię pod znużoną jej głowę! — Dobranoc! (Wychodzi).

SZCZĘŚLIWY (woła za nim).

Idź! Idź! — Potykaj się na kamieniach! Rozbijaj się o drzewa! Nienawidzę cię! Złodzieju! Rabusiu! Czemużem cię nie zdusił?



AKT DRUGI.

Ranek. Komórka na strychu w karczmie wiejskiej. Słońce świeci przez okno w dachu na bielone ściany. Łóżko z siennikiem, kulawy stołek, stoczony przez robaki stół sosnowy -- żadnych innych sprzętów. Jedyne przedmioty zbytku: -- książka, którą NIESZCZĘŚLIWY czyta, i pół podkowy nade drzwiami. Pukanie.

SZCZĘŚLIWY.

Tak, teraz widzę — posiwiałeś rzeczywiście. Znajdujesz może, iż ja także —?

NIESZCZĘŚLIWY.

Przecież widziałem cię niedawno w ciemności.

SZCZĘŚLIWY.

Mieszkasz niezbyt wygodnie.

NIESZCZĘŚLIWY.

Wiesz dobrze, nie byłem nigdy bogaty — a w ostat-

nich latach nie zbogaciłem się również. (Wstając). Proszę cię, oto stołek! Ja siądę na łóżku.

SZCZĘŚLIWY (siadając).

Nie dziwisz się, że przychodzę do ciebie?

NIESZCZĘŚLIWY.

Oczekiwałem cię.

SZCZĘŚLIWY.

Aleś nie przeczuwał przecie, że to ja zapukałem?

NIESZCZĘŚLIWY.

Poznałem kroki twoje na schodach.

SZCZĘŚLIWY.

Czy słyszałeś, jak potknąłem się?

NIESZCZĘŚLIWY.

Gdybyś pewnie wchodził na górę, nie myślałbym, że to ty — powiedz mi wszakże, czego chcesz.

SZCZĘŚLIWY.

Chciałem cię zobaczyć.

NIESZCZĘŚLIWY.

To nieprawda.

SZCZĘŚLIWY.

Przyszła mi chęć — chęć — pomówić z tobą.

NIESZCZĘŚLIWY.

I to nieprawda.

SZCZĘŚLIWY.

Cóż więc takiego?

NIESZCZĘŚLIWY.

Ona chora śmiertelnie.

SZCZĘŚLIWY.

Kto ci to powiedział?

NIESZCZĘŚLIWY.

Skarga jej brzmiała jak szlochanie opuszczonego dziecka.

SZCZĘŚLIWY.

Nie — nie zdołam już dłużej tego znosić! Noc i dzień, dzień i noc — ach, jakże ona cierpi! Ach, jak ja cierpię! — — Mówże tedy! Wiesz dobrze, po co tu jestem. — Mówże!

NIESZCZĘŚLIWY.

Powiedz sam!

SZCZĘŚLIWY.

Pójdziesz ze mną?

NIESZCZĘŚLIWY.

Zrzeczesz się jej?

SZCZĘŚLIWY.

Nie mogę. Czy pójdziesz mimo to?

NIESZCZĘŚLIWY.

Wiesz ty, co robi lekarz, gdy uzdrawia chorego, który zmarłby bez jego pomocy? Obdarza człowieka życiem, na świat z powrotem go wiedzie. Czy rozumiesz, co to znaczy? A jeżeli lekarz wie, że życie czekające tego człowieka jest nędzą niewysłownej pełną goryczy? Czy nie zdaje ci się, że, ratując umierającego, zdradza go przez to poniekąd?

SZCZĘŚLIWY.

Nie trać czasu. Każda chwila nagli.

NIESZCZĘŚLIWY.

Rozumiesz-że ty sam, czego żądasz?

SZCZĘŚLIWY.

Tylko tego, abyś był przy niej, tylko aby ona poczuła, że jesteś przy niej! — Tak, widzisz, co się ze mnie zrobiło — siedzę oto tutaj i żebrzę — do tego doszedłem — ani snu — ani spokoju —

NIESZCZĘŚLIWY (powstaje).

Więc chodź! Mimo wszystko pójdę z tobą. — Nie wstajesz? Nic zatem nie nagli?

SZCZĘŚLIWY.

Powiedz mi tylko jedno. Gdy przyjdziemy do niej — co będziesz robił?

NIESZCZĘŚLIWY.

Boisz się? Chcesz wyraźnej umowy? — czy godzisz się, bym włosy jej pogładził — czy mogę zimną jej rękę w swoich rozgrzać dłoniach — czy wolno mi czoło jej ucałować —

SZCZĘŚLIWY.

Tego się nie waż!

NIESZCZĘŚLIWY.

W gruncie rzeczy, na cóż się to przyda, że z tobą pójdę? Gdy dojdziemy do drzwi, nie odważysz się otworzyć ich przede mną!

SZCZĘŚLIWY.

Nie waż się w oczy jej patrzeć! Nie będziesz? prawda? Czy słyszysz?

NIESZCZĘŚLIWY.

Przecież od tylu tygodni leży ciągle z zamkniętemi oczyma.

SZCZĘŚLIWY.

Nie waż się również nic szeptać jej do ucha.

NIESZCZĘŚLIWY.

Gdyby była przytomna i mogła słyszeć i rozumieć, nie byłbyś po mnie przyszedł. Pójdź! Czemuż ociągasz się jeszcze?

SZCZĘŚLIWY.

Czy obiecujesz mi —

NIESZCZĘŚLIWY.

Oszczędź sobie tych ostrożności. Nie zabiorę ci jej — nie dziś przynajmniej — mogę czekać. Czy słyszałeś, com ci mówił przed chwilą o odpowiedzialności lekarza? Mimo to idę z tobą. Bo gdyby umarła, nie zostałaby nigdy moją. Dla tego powrócę jej zdrowie i ciebie jej oddam. Pójdź zatem! Chwiejesz się. Pozwól, że cię sprowadzę ze schodów. Strome są jak drabina Jakubowa.



AKT TRZECI.

W willi. SZCZĘŚLIWY i NIESZCZĘŚLIWY wchodzą i zatrzymują się w przedsionku.

NIESZCZĘŚLIWY.

Zdaje mi się, iż listwy podwoi obite aksamitnemi krajkami?

SZCZĘŚLIWY.

Aby nie było słychać, gdy kto drzwi nieuważnie zatrzaśnie.

NIESZCZĘŚLIWY (ogląda się dokoła).

Cały ogród!

SZCZĘŚLIWY.

Wiesz przecie —

NIESZCZĘŚLIWY.

Tak, lubiła zawsze kwiaty.

SZCZĘŚLIWY.

Idźmy na górę. (Idzie naprzód).

NIESZCZĘŚLIWY.

Aksamitne kobierce na schodach.

SZCZĘŚLIWY.

Tak, aby miękko było chodzić.

NIESZCZĘŚLIWY.

Stary witraż tam w oknie —

SZCZĘŚLIWY.

Szkła kolorowe tłumią światło. — Słońcu nie wolno tutaj razić.

NIESZCZĘŚLIWY.

I te kotary jedwabne — nie przypominam sobie, bym kiedy widział barwy tak piękne.

SZCZĘŚLIWY.

Wiesz przecie —

NIESZCZĘŚLIWY.

Tak, lubiła kolory, miała oczy wrażliwe na każde piękno. Cudowna rzecz, jak ten jedwab' się mieni. Słońce przedziera się przez czerwony skraj szat Najświętszej Panny na witrażu i wężykiem spływa, niby krwawa żyła, aż w mroki sfałdowanych firanek. — Czemu chwytasz mię za ramię?

SZCZĘŚLIWY.

Słyszysz?

NIESZCZĘŚLIWY.

Co?

SZCZĘŚLIWY.

Jak ona jęczy.

NIESZCZĘŚLIWY.

Ten dźwięk nie przestał mi brzmieć nigdy, odkąd po raz pierwszy go usłyszałem. Zaciął się, niby ostry nóż, w moją duszę. Ale z każdym dniem stawał się łagodniejszym; brzmiał tak wzruszająco jak płacz dziecięcy, a nocą drgał mi w uchu niby srebrne dzwoneczki. — (Wskazuje ręką:) Te drzwi?

SZCZĘŚLIWY.

Odgadłeś to?

NIESZCZĘŚLIWY.

Czułem, jak drgnąłeś, gdyśmy się do nich zbliżyli. Masz-że odwagę je otworzyć?

SZCZĘŚLIWY.

Nie mogę.

NIESZCZĘŚLIWY.

Więc ja to zrobię.

SZCZĘŚLIWY.

Nie, ja sam, ja sam! (Otwiera drzwi.)

Plafon z jasnego jedwabiu. Ściany powleczone miękkiemi tkaninami pięknych barw. Na kobiercu wiją się blade róże, zapadające głęboko pod niedosłyszalnemi krokami. W pośrodku sali proste łóżko polowe.

NIESZCZĘŚLIWY.

Puść mnie teraz! Nie masz się czego bać. Spojrzyj

tylko na nią! Chore, bezsilne dziecko, które nie zdołałoby nawet powiedzieć tak, gdybym ją o co prosił, ani nie, gdybym jej przykrość jaką chciał sprawić. Świętokradztwem-by było choćby włosy jej z czoła odgarnąć. — To twoje siedzenie, tam, koło łóżka? Musisz mi je na chwilę odstąpić. Siądę i będę ją uczył, jak śnić się powinno z rumieńcem na licach.

SZCZĘŚLIWY.

Nie szepcz jej nic do ucha.

NIESZCZĘŚLIWY.

W kościele stłumionym zawsze mówię głosem.

SZCZĘŚLIWY.

Czy mogę siąść koło ciebie?

NIESZCZĘŚLIWY.

Siadaj, gdzie chcesz. Dla mnie — niema cię tutaj — i dla niej również. (Siada przy łóżku). Julio, czy pamiętasz jeszcze owe dni letnie, gdy strumyk śród ogrodu jasne wody toczył, i odbijał w sobie krzaki różane, i szemrał na białych kamieniach, i zwierciedlił ciebie i mnie, dwoje uśmiechniętych dzieci między wielkiemi liśćmi podbiału? I łamaliśmy liście, i puszczali niby łodzie na strumień, który unosił je daleko — tak daleko, żeśmy w końcu już ich dojrzeć nie mogli. I wyobrażaliśmy sobie, że popłynęły ku niwom błogosławionym, kędy wielkie świetliste rosną kwiaty, o woni odurzającej. — Łodzie wracają! Łodzie wracają!

SZCZĘŚLIWY.

Co chcesz przez to powiedzieć?

NIESZCZĘŚLIWY.

Julio! Czy pamiętasz jeszcze ów wieczór pod gęstwi-

ną lip rozłożystych? Co ginęło w zgiełku dziennym, to budziły do życia nowego ich okwiaty, wyziewające słodką baśń wonną. Na drzewach kołysały się ptaki, ptaki-śpiewaki. Tryle ich drgały w powietrzu nad naszemi głowami, — a był jeden, który wyciągał tak fletniowo, tak tęsknie! A potem — jeden po drugim odleciały precz od nas, jeden po drugim przestały śpiewać. Był wieczór. Ptaki odlatywały na gniazda, ptaki szły spać, i noc smętna leżała naokół, cierpliwie rannego oczekując słońca. — Julio! Ptaki wracają! Ptaki wracają!

SZCZĘŚLIWY.

Nie rozumiem cię — głos twój brzmi jakby z odległej dali.

NIESZCZĘŚLIWY.

Julio, mała Juleczko! Czy wspominasz jeszcze ów ranek, gdy powietrze i morze zlewały się migotliwie? Małe ciemne łódki, stojące na kotwicach, wyglądały jak zawieszone w powietrzu i zwierciedlące się w jakiemś jasnem niebie. Wiosłowałem — i za każdem najmniejszem posunięciem się łódki mieliśmy wrażenie, żeśmy bliżej widnokręgu — nigdy wszakże nie mogliśmy dotrzeć do miejsca, gdzie woda i powietrze przelewały się jedno w drugie. Płynęliśmy ku jakimś krainom czarodziejskim, których wybrzeże cofało się ciągle. Z tej dali toczyły się ku nam fale za falami, i szarpały nasz ster, i chciały zatrzymać łódkę! Wszystkie odpychały nas w tył, żadna nie unosiła nas tam! — Julio, mała Juleczko, fale z powrotem toczą się w dal! Fale z powrotem toczą się w dal!

SZCZĘŚLIWY (zrywając się).

Patrz! Patrz! — nie widzisz? — Rumieniec na jej twarzy! Od lat, od lat, była biała jak wosk. Patrzaj-że! Patrzaj!

NIESZCZĘŚLIWY (powstaje).

Tak — wróciłem ci ją zatem.

SZCZĘŚLIWY.

Budzi się! Odejdź, odejdź!

NIESZCZĘŚLIWY.

Aby nie słyszeć jej krzyku, gdy odemknie oczy, obejrzy się dokoła i mnie nie znajdzie. Ale — ty go usłyszysz! Ty go usłyszysz!

SZCZĘŚLIWY.

Odejdź — prędko, prędko!

NIESZCZĘŚLIWY.

Jak chcesz.



AKT CZWARTY.

Wieczór. Ciemny pokój w willi.

NIESZCZĘŚLIWY (uchyla drzwi).

Tyś tutaj, nieprawdaż? Tam, w tym ciemnym kącie?

SZCZĘŚLIWY.

Szukałeś mnie zapewne po całym domu?

NIESZCZĘŚLIWY.

Zajrzałem przez okno z ogrodu. Gdzie było najciemniej i najdalej od pokoju, w którym umarła, tam szukałem cię odrazu.

SZCZĘŚLIWY.

Zdaje ci się może, iż ukryłem się przed tobą?

NIESZCZĘŚLIWY.

Przed sobą raczej, — gdybyś mógł to zrobić.

SZCZĘŚLIWY.

Oglądałem się dziś za tobą w kaplicy. Nie przyszedłeś?

NIESZCZĘŚLIWY.

Pożegnałem ją u siebie w domu. Do komórki pod strychem kazałem ogrodnikowi naznosić akacyi i gałązek dębowych, i przystroiłem nagie ściany. Na stole rozpostarłem obrus, olśniewająco biały, jak szaty zmarłej, postawiłem na nim róże, gwoździki i butelkę burgunda. Szklanki były dwie — i nalałem w obydwie. Przez całe te pięć lat nie miałem w ustach kropli wina — nie miałem go za co kupić. Słyszałem dzwon bijący na wieżyczce kaplicy i skrzyp kół karawanu, toczących się po wilgotnym żwirze drogi przed moim domem. Nie wyjrzałem przez okno. Podniosłem szklankę pod słońce — wino płonęło jak krew serdeczna — spojrzałem ku jasnemu niebu, co cicho leżało nad ziemią — jaskółka krążyła zwinnie, skowronek wzbijał się ze świegotem — wyszeptałem pożegnanie i dzięk.

SZCZĘŚLIWY.

Dla mnie dzień ten był jedną w słup obracającą okropnością. Światło raziło mi oczy. Woń róż w kaplicy doprowadzała mnie prawie do omdlenia... dźwięki dzwonów padały mi na głowę niby głuche ciosy. A ty — tyś zdołał urządzać sobie uroczystości?.. Cóż będziesz robił teraz?

NIESZCZĘŚLIWY.

Mam-że ci powiedzieć, co ty będziesz robił? Dzień jeden przesiedzisz w głębokiej ciemności, ale nazajutrz nie zapuścisz już zasłon, a trzeciego dnia wyjdziesz na dwór, na słońce. I wkrótce ty to będziesz wyprawiał sobie uro-

czystości. Nakryjesz stół obrusem, tak olśniewająco białym, jak szaty zmarłej, postawisz na nim róże i gwoździki, i butelkę burgunda, i dwie szklanki, i napełnisz obydwie, i obie zostaną wypróżnione. Nie podniesiesz szklanki swojej pod słońce, nie spostrzeżesz, że wino ma barwę krwi serdecznej. Ale nim wypijesz, będziesz już wpółpijany włosów złotych wonią. — Szczęśliwy człowiecze! Szczęśliwy człowiecze! Ty będziesz miał ciągłe święto. Ty nie jesteś pasierbem, jak ja, który raz jeden w życiu mogłem sobie święto urządzić.

SZCZĘŚLIWY.

Byłeś zawsze lubownikiem zagadek.

NIESZCZĘŚLIWY.

Wyprowadzam tylko wnioski z jednego o drugiem. Płakałeś dzisiaj tak wiele — będzie tak, jak mówiłem.

SZCZĘŚLIWY.

A ty? Pójdziesz zapewne do klasztoru?

NIESZCZĘŚLIWY.

Pójdę tłuc kamienie przy drodze. Na szerokim gościńcu wiejskim o stu kolejach — tam, kędy biała babka i niebieska cykorya w gorącym krzewią się piasku i w południowem słońcu płoną — tam siadywać będę nad brzegiem rowu. Ciężkim młotem żelaznym o krótkim trzonku łupać będę wielkie kamienie, ogładzone w ciągu tysiącoleci na okrągło przez morskie fale — jednostajnie będę je druzgotał na drobne ułomki, które sypie się w piasek, tam, gdzie koła wozów nazbyt głęboko zapadają. Pies mego gospodarza biegać będzie dokoła, i lizać mi ręce, i dzielić mój posiłek. Znużeni starzy wędrowcy i młodzież z piosnką na ustach pozdrawiać mnie będą i żegnać,

mijając, życzliwem głowy skinieniem. I tak oto życie przeciągać będzie przede mną, piękne, żwawe życie, tu kwapiące się ku zgryzocie, ówdzie ku szczęściu — a ja siedzieć będę i przyglądać się, niegnuśnie bynajmniej, bo odrabiając robotę, której kto inny musiałby się podjąć, gdybym ja nie chciał. Może któregoś dnia, gdy słońce stać będzie wysoko, młot wypadnie mi z ręki — jedyną istotą, która się oto zatroszczy, będzie pies gospodarza. On, wietrząc posiłek, językiem przymknie mi powieki.

SZCZĘŚLIWY.

Co ty tam robisz?

NIESZCZĘŚLIWY.

Zapalam światło. (Robi tak). Nie będziesz, ufam, nic miał przeciwko temu, że obejdę jeden po drugim wszystkie domu pokoje, tak tylko, na pozdrowienie i pożegnanie? — Czy pójdziesz razem?

Wychodzą z komnaty — i zwolna, po różnych schodkach, to na górę, to na dół, obchodzą pokoje.

SZCZĘŚLIWY.

To jadalnia.

NIESZCZĘŚLIWY.

Nie potrzebujesz wskazywać mi miejsca, gdzie siadywała. Widzę ją tam. Jedyne światło, które niosę w ręku, razi mi oczy, jakby wszystko wokół skrzyło się od blasków. — Słyszę śmiechy, brzęk szklanek. Ale tam, gdzie ona siedzi, blada gospodyni, tak cicho jest, tak cicho.

SZCZĘŚLIWY.

Oto mała bawialnia, gdzieśmy siadywali wieczorami.

NIESZCZĘŚLIWY.

Miała zasłonkę na lampie. Nie chcę otwierać fortepianu — i tak widzę białe jej palce na białych klawiszach — i tak słyszę tony — poznaję melodye.

SZCZĘŚLIWY.

A tu znowu siadywaliśmy często w dni gorące — przed południem — drzwi na ganek mieliśmy otwarte.

NIESZCZĘŚLIWY.

Ona siadała tu przy drzwiach — na tem nizkiem krzesełku — i głęboko wdychała powietrze, i patrzała w ogród, jakby wyglądając —

SZCZĘŚLIWY.

Te drzwi — do sypialni.

NIESZCZĘŚLIWY.

Przesuńmy się cicho koło nich. Nie chcę tam wchodzić.

SZCZĘŚLIWY.

Tu jest —

NIESZCZĘŚLIWY.

Wiem. Zaciszna, mała komnatka, kędy kryła się w chwilach znużenia, gdy jej zimno było i nie mogła się uśmiechać. Podkładała sobie poduszkę pod głowę — widzę jeszcze jej włosy połyskujące na jedwabiu.

SZCZĘŚLIWY.

Nie ruszaj poduszki.

NIESZCZĘŚLIWY.

Nie miej obawy! Nawet gdyby jeden z miękkich jej

włosów na niej został, trzebaby go zostawić w spokoju. Te drzwi otwarte — bądź-że spokojny — nie wejdę do jej ubieralni. Ale — powiedz mi jedno: co to jest? to tam? — Byłyż dzieci w domu?

SZCZĘŚLIWY.

O co pytasz?

NIESZCZĘŚLIWY.

O tamtą sukienkę!

SZCZĘŚLIWY.

To była jej suknia.

NIESZCZĘŚLIWY.

Taka mała — taka mała. Zapomniałem, że ona była taka mała. Dla mnie rosła z dniem każdym — i gdy sobie wyobrażałem, że kładzie mi ręce na głowie, musiała się zawsze nachylać. (Podchodzi bliżej). Jej-że to suknia doprawdy? Taka była malutka — jak dziecko — taka malutka.

SZCZĘŚLIWY.

Nie ruszaj!

NIESZCZĘŚLIWY.

Jej suknia?

SZCZĘŚLIWY.

Nie ruszaj, powiadam ci. Nie ruszaj!

NIESZCZĘŚLIWY.

Chcę dotknąć tylko, czy materyał jest miękki, nic więcej.

SZCZĘŚLIWY.

Ani końcem palców! Ona była moja! Do niczego

z niej nie masz prawa. Odejdź! Wynoś się! Nie mogę cię znieść. Z pokoju do pokoju wałęsasz się jak złodziej. Przyszedłeś tutaj, aby kraść. Wchłaniasz jej oddech, wypełniający to powietrze, łowisz jej spojrzenia, które tutaj na każdej spoczywały rzeczy. Precz! Wynoś się ztąd, powiadam.

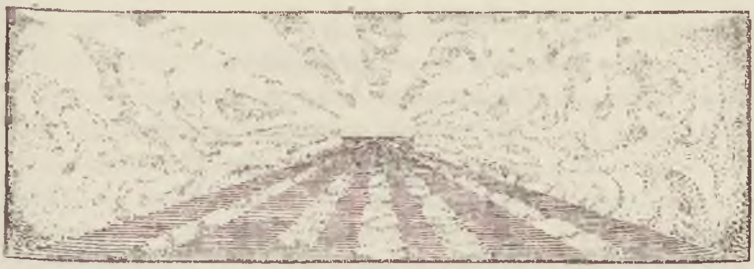
NIESZCZĘŚLIWY.

Idę, idę. Jestem, mimo wszystko, szczęśliwszy od ciebie — ty nic mi ukraść nie możesz. Bywaj zdrów! Idę teraz tłuc kamienie przy szosie. Gdy będziesz kiedy przejeżdżał, na jaką uroczystość, spotkają cię oczy moje od brzegu rowu. Biedny kamieniarz opuści młot i, jak czynią nędzarze, uchyli czapki, gdy będziesz go mijał.



PRZEŁOŻYŁ A. Om. Axel Steenbuch.

Anaktorya.



τίνος αὖ τὺ πειθοῖ
μὰψ σαγηνεύσας φιλότατα.
Sapho.

Gorzka twa miłość; — oślepia me oczy
Wzrok twój i pali połysk twych warkoczy.
Twój oddech ciało mi kraje i ducha,
Żyły me rosną, krew w nich żywiej bucha.
O nie oddychaj! nie mów! Spłoń na wieki,
A śnij, iż życia twego kres daleki.
Niechaj nas morze w swych głębiach pogrzebie,
Niecháj nam ogień (nie przeraża ciebie
Żar mojej żądzy, a tu pełnaś trwogi?)
Odlepi mięso od kości! Jak mnogi
Liść padający, niechaj się po roli
Rozsypią nasze popioły! Tak, boli
Ciebie ma boleść, krew twa — jać to czuję —
Powstaje przeciw mej, twa warga kłuje

Mą wrzącą wargę i moje się żyły
Na straszną mękę dla twych spłomieniły.
Owoc niech owoc, kwiat niech kwiat poniszczy,
Pierś niech pierś spali i śród własnych zgliszczy
Niech się z nich każda żagwi jeszcze chwilę!
Przecz lichszych szukasz miłości? Nie w sile
Twoje są ręce i czar ust twych młody,
Aby iść mogły z mojemi w zawody?
Klnę cię na żywot mój — o ty, przez Boga!
Nazbyt łagodna, by twa stopa. sroga,
A nieskalana, mogła tak zuchwale
Podeptać miłość — klnę cię, niech w zapale
Żądzy twe usta dopóty się strzegą
Jej pocałunków lub też wargi jego,
Póki nie stanie słodsza się od mojej!
Albo też może twe serce się boi,
Że gołąb zwabi jaskółkę niewinną,
Za Erotionem goni czy Erinną?
Jakżeż ja pragnę, aby cię zabiła
Miłości mojej nieprzeparta siła!
Rozkosz, iż żyjesz, a chcę, byś umarła,
Aby, jak owoc, ziemia cię pożarła,
By słodycz ust twych była li słodyczą
Dla pełznych gadów! Żądze moje liczą,
Jakieby znaleźć dla ciebie katusze,
Nadmiary tortur, by ci wydrzeć duszę;
Jakby wytrząsnąć życie na twe wargi
I pozostawić, by rozjękło w skargi;
Jakby ci tchnienie wydobywać z łona
Męką, od której ciało twe nie skona!
W jakich cię dręczyć przerwach, tę mam wolę,
I jakie sprawiać nieskończone bole;
Jak dech twoj niecić, jak szarpać na ćwierci
Przygłuchłe tony i półtony śmierci!

Już mnie twe dziwne nuży zachowanie,
Dla słów twych słodkich już mi sił nie stanie;
Już dni i nocy miłosnych rozkosze,
Jak ciężar wielki, w swojem sercu noszę —
Tych pocałunków słoną, morską pianę,
Którą twe usta, tak rozcałowane,
Jakgdyby z winem mieszają! — te oczy,
Snadź błękitniejsze od chwil, skrytych w mroczy,
Kiedy je rozkosz poi łzą, a wonią
Kwiatów wykarmia, co w sercu się płonią
Ogniem, płynącym z wnętrza li przez poły,
A których białość jest jako przyczoły
Niebieski okrąg rozkwitłego ziela!
Dość mam twych powiek, tej, co się podściela
Pod żar źreniczny, i górnej, a które
Miłość zamyka, uśmiech wznosi w górę —;
Męczy mnie pas ten, piękny, gdy na tobie,
I włos twój męczy w tych lilij ozdobie.
Twe zachowanie, słodkich słów twych moce,
Dnia wonne kwiaty i nocy owoce,
Usta raniące, winnych żarów pełne,
Spienione w słoną morskiej piany wełnę,
Z której się słodka rodzi Afrodyte; —
Godzin miłosnych twe oczy niesyte,
Gładkie jak kwiaty, jak ogień płomienne,
O barwach mroków, co leżą bezdenne
W sercu, lecz wokół ujęte w pożary,
Jak mrok, i w błękit, jak mrok nocy szary,
Dolną i górną zamknione powieką —
Wszystkie twe wdzięki miłością mnie pieką —
Ten pas, niepiękny już, bo już odpięty,
Te lilie zwiędłe i ten włos twoj zmięty.
Ty się o miłość nie troszcz; ta, co darzy
Miłością swego kochanka, rozżarzy

Wraz się i k' tobie! Więc poniechaj skargi!
O duszo słodka! O wy słodkie wargi
Tego, co życie swe uśmiechem znaczy,
Ona jest moją i ona przebaczy!
Bo sen mi światłość zjawił, co się czyni
W Pafos, w jej domu, w jej wzniosłej świątyni;
Bo mi całunki i ciała i duszy
Słyszeć pozwolił, wnikające w uszy
I w oczy śmiechem i łzami; bo płonie
Miłość przede mną, na swym sławnym tronie,
Ku południowi patrzy i północy,
Duszę ma pełną barw przedziwnej mocy,
W ustach całunków i szeptów tysiące...
I swoje lico nachyli śmiejące
I „któż cię martwi, Safo?“ tak mi rzeknie.
„Wszak twoje oczy to pieśń; z ust twych cieknie
Słodko muzyka, tyś więcej ode mnie,
Choć nie omdlewa głos mój, że aż w ciemnię
Świat cały pada, choć szaleją ludzie,
W głosu mojego zatopieni cudzie;
Choć miłość płacze, zmienia się natura
I we śnie wstydu kraśnieje purpura.
Ach! chcesz mnie zabić, by cię nie zabiły
Te pocałunków mych zabójcze siły?..“
I potem do mnie ta serca królowa
W te, uśmiechnięta, odezwie się słowa:
„Ta, co ucieka, teraz idzie rada
Z tobą i słodki podarek ci składa —
Oto całować cię będzie, tak, ona,
Co cię całować nie chciała, spłoniona,
Kiedy całować nie było w twej chęci...“
Ze wszystkich ludzi tyś w mojej pamięci
Jedna jedyna!.. Żaliż pieśni moje
Mogą jej serca stłumić niepokoje?

O ty, jak życie dla śmierci, tak droga
I słodka dla mnie, czemuż dzisiaj trwoga
Bije na ciebie przed jej gniewem? Żali
Ona jest bogiem, twórcą morskiej fali
I wieków ziemi? Żali ona tory
Słońcu wyznacza, i w jasne wieczory
Blaski miesięczne po niebie rozpina,
I gwiazd przelewa zdroje, jak zdrój wina?
Ona-ż dziewice stwarza i młodzieńce,
Bite rózgami, strojne w mirtów wieńce?
Żali nie mamy ócz dla łez, a zasię
Ust dla miłości, gwiazd w porannym czasie
Dla stóp tych naszych, a słońca w południe,
Miesięcznych w nocy zachwytów? Przecudnie
Nie kwitnie-ż dla nas kwiat kobiet? Czyż młodej
Nie mamy wiosny i lata? To błonie
Lilij nie dla nas i nie dla nas wionie
Omdlały powiew lesbijski po ziemi?
Nad wzlatujących gołębi wartkiemi
Stopy czyż niema jeszcze innej drogi,
Gdzie inną miłość inne chłoną bogi?
Choć ona dla mnie smaga cię bezmiernie,
Pod jej razami nie zakwitną ciernie,
Krew, chociaż tryśnie, szkarłatem nie spłynie.
Oby me wargi były w tej godzinie
Nieme, bezdźwięczne, li do twej smaganej
Tuląc się piersi, do jej kwietnej rany!
Oby me usta, zamiast Muzy mleka,
Krew twa karmiła, co kroplami ścieka!
Obym też mogła kosztować językiem
Tych kropli słodkich, co drobnym strumykiem
Sączą ci z piersi aż po pas! W twe żyły
Oby się żądne moje wargi wpiły,
Jak w puhar wina! Jako plastrem miodu

Obym twą piersią mogła mego głodu
Nasycić żary! Oby się me ciało
Od stóp do głowy w twojem pogrzebało!
Ach! ach! twa piękność! Żre mnie nakształt zwierza,
Kąsa jak żmija, jak pocisk uderza!
Ach! słodkie! słodkie! po siedemkroć słodkie
Ślady, gdzie przeszły twoje stopy wiotkie!
Nad sen wszelaki, nad powiewy letnie,
Słodsze twych włosów spadające pletnie!
Tak! choć mnie krzywdzą dziwnemi całunki,
Twe usta słodsze mieszczą w sobie trunki,
Niźli me wargi, wszelkiej pieśni pełne!
Ramię twe bielsze nad najbielszą wełnę,
A palce twoje o kwiatów słodyczy,
Jak owa słodkość, skryta w tajemniczej
Komórce plastru, jakby na to one,
By gryźć i dręczyć — lekko zróżowione
Konchy o kształtach migdałów, u góry
Płonące krwawem obrzeżem purpury.
Na wargach twoich ryte bólu piętna,
Tak ci je rani ma żądza namiętna!
Oby ci życie miłość ma wydarła!
Obym ja sama umarła, umarła
Z twych mąk a moich rozkoszy! Jak w grobie,
Z krwią twą zmieszana obym legła w tobie!
Czyż cię przemożnie śmierć ma nie udręczy?
Czyż oczom twoim nie da krwawej tęczy
Łez, które żalu odbiciem rozbłysły?
Czyliż nie wnikną katusze w twe zmysły?
Czyż kurcz nie pojdzie za kurczem, jak nuta
Idzie za nutą, z poprzedniej wysnuta?
Czyż w gardle twojem nie uwięzę jęku
Strasznej muzyki siłą moich ręku?
Twe członki żywe nie wyjdąż z mej dłoni

Zmienione w lirę bezskażnych agonij?
Nie będąż paść cię febry, głodu strawą
I wyszukanem pragnieniem? Pod krwawą
Moją potęgą czyż się nie rozściele
Kurcz na twych ustach i czyż w twojem ciele
Życie na nowo palić się nie pocznie?
Czyż duch się w tobie nie zerwie bezzwłocznie?
Sroga-m? Wszak mądry jak nieba, od piekła
Zasię jest sroższy ten, kogo urzekła
Miłość, a we mnie miłość większą budzi
Gorycz dla ciebie, niż ją ma dla ludzi
Śmierć! O, zaprawdę? Gdybym miała moce
Tego, co wszystko stwarza i druzgoce,
I deptać mogła i gwiazdy, i słońca,
I dusze ludzkie, którędy bez końca
Idzie ta Jego nieprzemienna droga,
Byłabym sroższą — jak Bóg żyw! — nad Boga!
Siłą swych modłów i dziękczynnych pieni
Któż tajemnicę srogości odmieni,
Ten przymiot wszystkich? Lub czy ktoś zagadnie,
Jaki to Bóg też, który wszystkiem władnie,
Który panuje i bogom i latom,
Aby tak sycił krwawych łez objatą,
Żalnemi głosy rozpacznej żałoby,
Z dziwnych płynącej krajów, tam, gdzie groby
Są karmią wężów; — tchem spalonej wargi
Więźniów; — tłumionem wywierzyskiem skargi,
Co się z ginących wywiera okrętów
Przez zwarte usta spienionych odmętów; —
Włosami komet, przez straszne wichury
Rozwiewanemi w przestrzeni ponurej,
Gdzie zmrok w głębokiem swem żlebisku kruczem
Jest, niby w kaźni uwięzion, pod kluczem
I pod pieczęcią; — krnąbrnych gwiazd płomiennym,

Dzikim oporem; — zaćmieniem, — bezsennym
Trudem księżyców, — światłości przemianą, —
Ślepotą tworów, wieczną, niezmazaną; —
Hukiem trzęsących się szczytów, — skrzydlami
Nocy, w przestworzu zawisłej nad nami; —
Płaczem strudzonych siedmiu Plejad, znojem
Planet śródnocnym —; któż w zdumieniu swojem
Zechce zapytać: co za władztwo boże
Niemiłosiernie tak wciąż sycić może
Melancholijną, niemą rozkosz nieba?
Żaliż goryczą nazywać nie trzeba
Tego kadzidła? strawy téj katuszą?
Żali się ludzie spotykać nie muszą
Z Jego ukrytem licem, z miedzianemi
Jego stopami, co wszystko na ziemi
Depcą i w każdej godzinie? Ażali
On nam nie zsyła głodu i nie pali
Niesytą żądzą ciała nam i ducha?
Któż głośnej skargi wyschłych ust nie słucha?
Któż każe woli nabrzmiewać, by potem
W nikłym marniała czynie? Ducha lotem
Któż tak kieruje, że ginie bez wieści,
Gdy ciało jeszcze musi żyć? Boleści
Któż to rozkazał ożywiać popioły
Umarłych pragnień, a życiu wesoły
Porzucać kwiat swój na pastwę złych losów?
Jegobym chciała doścignąć, z niebiosów
Strącić i zmiażdżyć, ludzkich tchów mych noże
W Jego utopić zimne wargi boże,
Ze śmiercią zbratać nieśmiertelność Jego!
Po co nas stworzył? I cóż my to złego
Uczyniliśmy, by tak żyć bez końca
I nienawidzieć jałowości słońca,
Blednąć z księżycem, w miarę jak on blednie,

I, puls za pulsem śledząc w tętnic sednie,
Czuć, jak w tych żyłach czas się nam przedłuża...?
I ciebie lata nakryją! Jak róża
Będziesz — jak róża, urodzona z zdroja
Krwi takiej samej, jak i krew jest twoja.
Będziesz jak słowa, które już przebrzmiały,
Jak wyśpiewany śpiew i, jak wspaniały
Kwiat, tak upadniesz i zginiesz do szczątka,
I nie zostanie z ciebie ni pamiątka.
Bo Muza w włosy nie zaplotła tobie
Pieryjskiego kwiecia, co w ozdobie
Swojej wyrasta ponad wszystkie krewne
Śmiertelnej róży lata, nad rozlewne,
Ogniste barwy dni, gasnących wkoło —;
Bo nie wylała ci Muza na czoło
Kraśnej czerwieni, którą niebo płonie;
Bo na twe blade z męki kwiatów skronie
Purpurowego nie rzuciła cienia
Ich przekrólewskich listków. W zapomnienia
Zaginiesz fali, jak wylany trunek,
Chyba, że ust mych płomienny całunek
Nieśmiertelności wypali ci piętno.
Człek się nie wsłucha w oceanu tętno,
Nie wpatrzy w jasność ognia, ni w muzyce
Zatopi serce, ni wzrok w błyskawice,
Lecące z nieba, z groźnie złocistemi
Stopy na skrzydłach bezpiórych — za niemi
Grzmot niby ogar za zwierzem w rozpędzie,
Po niezoranych ugorach —: lecz wszędzie,
W śmiechu i blasku promienistym, w jęku
I wskroś melodyi, w drżeniu ust i ręku,
W rozkołysaniu wodnych fal, co świata
Dają przeczuwać grozę majestatu
Całego morza, szumnego ogromnie,

Będzie miał pamięć i przenośnię o mnie!
Do mnie podobny będzie nocnej ciszy
Oddech miarowy, kiedy ledwie dyszy
Moc wszystkich wiatrów świata, co stuliły
Zmęczone skrzydła i usta, bez siły,
Zamkły z rozkoszy; — ta gwiazda, mdlejąca
Z wielkiej tęsknicy ku zimnym miesiąca
Wargom, jak ja dziś ku twoim; — południa
Białe pustkowie, kiedy je wyludnia
Jałowy słońca żar: to wszystko razem
Stanie się wówczas mej duszy obrazem!
Do mnie podobne będą i potoki
Lądu i rozszum morskich wód głęboki.
Czas mnie tak męczy i nuży, jak one
Przypływ i odpływ; me żyły stęsknione
Dają mi poznać żądze i tęsknoty
Szumów tych wodnych; blask mych ócz — to złoty
I bezpromienny ogień, niepokojem
Gwiazd i księżyców nieustannym znojem
Wypełniający niebiosa: ma dusza
Wciąż je pochłania i ból ją porusza —
Łakną ich żyły, jak łakną żądliwie
Płodnej jędrności drzew, gdy lato żywie,
A leniwego ich omdlenia w zimie.
A zasię ziemia, swe łono olbrzymie
Obciążająca niezliczonym płodem
Życia i śmierci, wiecznym ssana głodem
Śmierci i życia, te same boleści,
Co ja, w oddechu urywanym mieści.
Wiosna jej liści — zwiędłość; popiół szary —
Jej owoc; ciężar zgina jej konary;
Jej korzeń, zszarpan i skręcon przez jady,
Dołem oblazły pełzające gady,
Topiąc weń zęby krzywe, wyostrzone

Na kościach bytów zmarłych, a koronę
Dzikiego ptactwa obrywają stada.
Wszystko to stworzył Bóg; dłoń jego włada
Utkała z tego jak gdyby okrycie
Dla boskiej myśli i słowa; i życie
Moje powstało przezeń; On to stworzył
Pieśń promienistą i w me usta włożył.
I mnie ta ziemia nie zerwie, jak zioła,
Wówczas gdy ciebie na swą karm' przywoła:
Wylana będziesz jako łza wylana,
A ja — gwiazd niechaj spełnia się przemiana
I lat, niech ziemia płodzi w ciężkim trudzie,
Niechaj się rodzą i konają ludzie,
Niechaj Bóg wielki nowe byty stwarza,
Dawne niech gasną w obliczu Mocarza,
Który, silniejszym będąc od ich siły,
Pcha je ku życiu albo do mogiły —
Mnie On, stworzywszy, życia nie odbierze,
Mnie nie zabije, nie nasyci w mierze,
Jak ową tłuszczę ludzką, która trocha
Śmieje się tutaj i co nieco kocha,
Zadowolona z całunków swej chyżej,
Słodkiej miłości. — Śmierć się do nich zbliży,
Śmierć wolnym krokiem ludzi tych dogoni:
Czy nienawidzą czy miłują oni,
Walczą czy gną swe kolana w pokorze,
Rychły im koniec sprawią ręce boże.
A nienawidząc, gdyby zamordował
I w głębiach morza srogiego pochował,
Gdyby mnie ukrył w bladą topiel chłodną
I miał pociechę dla mnie, tłuszczy godną,
Głębie odstąpił słodkie i olbrzymie,
I jeszcze bardziej królewskie dał imię
Morzu przeze mnie, i słodszem przeze mnie

Uczynił morze to wielkie: daremnie!
Choć sama zasnę w śmiertelnej powłoce,
Jeszcze-ć mną całą nie zawładną moce
Tej Jego woli!.. Kwieciem strojne drzewa,
Wiatr, co na wzgórzach pogodnie zawiewa,
Żarnych słowików przenamiętne pienia,
Pąki, śród nagłej wiosny w kształt płomienia
Wybuchające; płowy, podmywany
Piasek i płonnych pełne żądz bałwany;
Żagle, jak białe kwiaty na roztoczy
Mórz; one słowa, co łzy cisną w oczy;
Melodya ptaków, co rośnie i rośnie,
Aż świat się cały rozśpiewa rozgłośnie —:
O tak, ja, Safo, z tem wszystkiem się stanę
Jednem na zawsze! Me lico, widziane
Raz w obcem miejscu, śpiew mój, raz w dalekiej
Posłyszan stronie, przylgnie już na wieki
Do życia ludzi i dni ich spustoszy
Smętkiem, tęsknicą i żądzą rozkoszy..,
Tak, ziemia — rzekną — dała z swego łona
Moc nowych bytów, lecz nowostworzona
Żadna jej istność nie dorówna! Twory
Ludzkie, dnie, wojny, wino, roku pory
I pieśń stworzyła ziemia równocześnie,
Lecz któż piękniejsze, doskonalsze pieśnie
Znajdzie nad moją śród okręgów świata?
Jak wy mnie znali, gdym zeszłego lata
Kochała Atthis, — tak ci mnie w tym roku,
Gdy kocham ciebie, poznawszy, co kroku
Wielbić mnie będą: „Jak my dzień swój mamy,
Tak“ — rzekną — „wszystek czas — li dla niej samej
Przypadł, więc nie ma żyć i nie mieć swojej
Jedynie woli?!..“ Mój duch się nie boi:
Nie umrę, chociaż ty umrzesz! Żyć muszę!

Oni mi dadzą swe życie, swą duszę,
Tchem mnie swym żywić będą, swą miłością,
I walkę o mnie toczyć z Śmierci włością.
Księżyc, śnieg, rosa już mnie nie uleczy,
I wszelkie inne, chłód niosące rzeczy,
Już nie uleczą mnie i nie ukoją,
Aż sen najwyższy przyjdzie z ciszą swoją,
Aż czas zaniknie w każdym swym okresie,
Aż przeznaczenie jarzmo bogów zniesie
I, by nasycić wszelką mą podnietę,
Da mi na usta i Lotus i Lethę,
Aż mnie pogrąży całą w mroków łożu
I w wiekuistem, niezmożonem morzu.



PRZEŁOŻYŁ
Jan Kasprowicz.

Algernon Karol Swinburne.

Sprzymierzeniec.

Gdy poraz pierwszy usłyszałam jego kroki, jego chód niezrównany, — silny, sprężysty, a przytem ledwie dosłyszalny, — odwróciłam głowę ze zdziwieniem, nie bez dreszczu nałogowej trwogi: — lecz nie ujrzałam nic, prócz własnego cienia, szarpanego bez litości przez dziki wicher pełni księżycowej.

Było to na jednym z tych naiwnie awanturniczych spacerów, w których ćwiczyłam elementarnie swą zidyociałą odwagę. — Noc była straszna; jedna z tych, które nawet psom błędnym otwierają drzwi niegościnnych domów, które w filistrach, budzonych dmą wichury (skowyczącej z nigdy nieznaną szczerym polom złośliwością w zaułkach „ognisk cywilizacyi“), dają jednocześnie świadomość ich

pierzynowej szczęśliwości — i napędzają gęsią skórkę litości (czy litości gęsiej skórki) na myśl, że może ktoś — w tej chwili — nie ma dachu, — i że tym kimś jest człowiek — jak oni, — że więc i oni mogliby... — Noc, jednem słowem, oddana żywiołom rozhukanym na łup, noc z samotnych najsamotniejsza, z bezpiecznych najbardziej bezpieczna dla tych, którzy tę prawdę poznali, że jedynem niebezpieczeństwem dla człowieka jest — człowiek.

Minęłam właśnie miasto, wyludnione, martwo blade w ponurem mruganiu zdmuchiwanych latarni, miasto pełne złowróżbnych szczęków, zgrzytliwych szelestów, huczenia drutów telegraficznych, dzwonienia zrywanych szyldów. Z sykiem wężowym wirowały tu trąby kurzu, zataczały się rozpustne śmiecie, z zaułków dobywały się świszczące chichoty. — Domy ziały oczodołowemi czerniami swych ruinowych okien, lub świeciły blademi szybami jak próchnem. Ucisk chwytał mnie z chwilą każdą większy, groził przerobem w panikę. Więc instynktem zwierzęcym, uciekającym z gróz kultury we względną stateczność Natury, — pognałam ślepo czarną ulicą nad morze. Aby do morza dojść! Przy niem czułam się zawsze jak w domu. — Było mi ono tem, czem Anteuszowi ziemia.

Odetchnęłam — na krótko. Wiedźma lęku została w mieście, lecz teraz zaczęła się konieczność walki z żywiołem. — Wiatr gnał z głębi wód, które, pod piorunowo czarnem niebem, całe w olbrzymich pianach, wzbierały aż pod samą drogę, wybuchały gigantycznemi fontannami, niby białemi widmami podmorskich harców, — i tryskały kłębami piany na szeroki, wysoki skalisty brzeg, przytwierdzając na chwilę lotne wydmy płynącego piachu. — Wicher dął jakby zewsząd, tamując dech i ruch. Każdy krok zdobywało się szturmem, drąc się turzem czołem przez zapory czarne. — A oto mijałam ostatnie, jakby wymarłe hotele; z łańcucha diun zerwał się teraz deszcz pia-

chu, ulewa gradowa, zamieć, huragan! i zasypywał mnie, siekł, w twarz, w oczy, w kołnierz, w nozdrza, w usta chwytające z trudem powietrze. — Już nic nie widziałam, nie słyszałam, szłam na oślep, szarpana, ciskana, zatrzymywana, pchana, zasypana wodą i piachem, oślepiona, ogłuszona, dymiąc z wysiłku jak koń na mrozie. — „Nie dojdę!“ — szepnęłam, myśląc o długiej drodze do domu (było to jeszcze w owych biednych czasach, gdy byłam podległa przesądowi „dachu“ i „mieszkałam“). — „Nie dojdę“ — szepnęłam więc, i wraz z dźwiękiem tych słów znikł ich sens, który jest dla naiwnych tragicznym. — „Cóż z tego? czy mi trzeba dojść?“ — przyszło mi nagle do głowy, rozgrzanej wichrem jak winem, — i porwało mnie boskie ożywienie, ognista potęga, która teraz, przełamawszy się przez patrole codziennej Kapuy gnuśności, buchała zachwytem awantury, szałem bohaterstwa, dziką radością żywiołu. — „Ah,“— wołałam ekstatycznie, — „staję się mniej niegodną! —“ — a właśnie mijałam diuny, fizycznie pół przytomna, lecz duchem wniebowzięta prawie przez ten wichr, który się stawał uosobieniem bicza bożego, niebiańską ostrogą, rózgą płomiennych entuzyazmów, wydzierających się z okropnie sponiewieranego ciała w empirejskie przestwory ognia! ognia! ognia!

A właśnie mijałam diuny i, fizycznie pół żywa, duchem zaś nad-żywa, wszech-żywa, — padłam pod dach szklanego schroniska.

„Lwem chcę być! w huczące morza gnać!“ wołałam w uniesieniu. — „Przybywaj, Lwie odwagi! Witaj, Przygodo! — tyś klucznicą mych Sezamów, tyś Ganimedem mej nieśmiertelności! —“

O naiwna wielka nocy mego powtórnego niemowlęctwa!

Jak wstałam, jak niesiona boskim entuzyazmem, pijana mocą swą, i samotnością nocną, i okrutną grą braci

mych, żywiołów, — doszłam wreszcie do domu, — widzę mglisto. Spostrzegam tylko twarz pół-litosną, pół-zgorszoną stróża, oblanego światłem łuczywa, — i podejrzaną figurę szpiega cnoty, który z za węgłów badał moralność mego pojawienia się wśród — kultury. — W domu omyłam się z kurzu i błota i wciąż w delirium zapału rzuciłam się na łóżko, majacząc o straszniejszych nocach, głębiach mórz, grozach pustynnych, wyspach ognistych, — o wielkich, nadludzkich, — o prawdziwych przygodach. Półsen mój był jednym dreszczem żądzy bohaterskiej, — a gdy dzień wstał, blady, wichrowy, tak wściekle rozkiełznany, szumny żółtem, wciąż spienionem przeogromnie morzem, — ja, nowicyusz, leżałam drętwa, z połamanemi kośćmi, z całą wrą morza w sennych uszach, z mgłą ogniście rozchwianą nad bredzącym mózgiem, który teraz wertował imaginacyjne karty księgi pełnej imaginacyi. — I zamajaczyły mi nie-do-słowa o nie-do-obrazach i ponad-woli...

I wtedy, po raz drugi, przez szum morza i świst wichru, przedarł się w me uszy ten bezprzykładny, silny i sprężysty, a niezłowiony chód, — i w czerwieniach myślotoczy zaciemniła się ciemno-staro-złota, wielka, rozczochrana plama, — cała, ogromna, dymno-słoneczna aureola królewskiej grzywy...

— Lew! — — szepnęłam zdumiona.

Przepyszny, olbrzymi, rudo-złoty łeb poruszył się w czerwieniach tła, wystąpił w całej okazałości wieczornej tarczy księżycowej, zajął monarsze centrum spowijającej mnie bezprzestrzennej otoczy. I spojrzały na mnie srogie, trójkątne oczy, z nieopisaną mieszaniną świadomej jakoby nieświadomości, stanowczej mocy, płynącej z niepotrzebującego formuł aksyomatu potęgi i z majestatycznego wprost zapoznania wszelkiej rzeczy, która nie jego jest. — Poczem zwrócił się profilem, olśniewająco krocząc potęż-

nemi łapami po wykreślanem przez nich kole, dźwigając nisko na ziemią swój w łuk wygięty, sprężysty ogon, i smukląc się płowym zwięzłym kadłubem. Zatoczywszy okrąg, stanął znów naprzeciw mych oczu, lecz już bliżej, opuścił się na ziemię i legł z hieratyczną powagą sfinksa.

W głowie mojej, po wczorajszem rozedrganiu, nie było miejsca na nic innego prócz zachwytu. Więc na ten widok niezwykły uczułam poryw ogromny i zawolałam w uniesieniu:

— Witaj, Królu!

Zdumiały mnie te słowa własne. — — Myśl przeniosła się o kilka miesięcy w tył, do pierwszego trwałego wrażenia, które otworzyło tę moją drogę wyobraźni... — Było to na pierwszym etapie wędrówki, w mieście obmierzłem. — Uciekając od jego grubego zbytku i trywialnej pozy, wpadłam do Zwierzyńca, — i tam, na zakręcie, jakby w oczekiwaniu na mnie, niespodzianie oczy me uderzył — ten sam lew. — Z obszernej kłatki, leżąc w całym przepychu kształtów, bosko nieruchomy, wodził za mną twardemi oczyma. — I było w ciszy bezludnej zakąta, w tem niemem spotkaniu, w tym wzroku i w tej pozie coś bardzo dziwnego, — kiedy, objęta dziecinnie szczerym ruchem czci, zdjęłam przed tym majestatem czapkę (owo „złe copcysko,“ które gorszyło wszystkich przekupniów ulicznych i wszystkich „szykowych“) i rzekłam głośno:

— Witaj, Królu!

Jak teraz...

I teraz, jak wtedy, został nieruchomy wobec mego pokłonu, tylko mi w twarz patrzył tym srogim, uważnym, wyrazić się niedającym wzrokiem, — który nie pytał, czem jestem — ale: czego chcę? — nie pytał, czem jest sam, lecz stwierdzał, że jest. — Wzrok bez żadnej ciekawości, nostalgii, intuicyi, marzenia by najlżejszego; wzrok, który byłby tępy, gdyby nie owa szczególna twardość decyzyi

odwiecznej, owa przeszywająca bystrość praktyczna, — i bezwzględna prawość istoty zbyt silnej, by nie gardziła wszelkiem kłamstwem. — Jednem słowem — gdyby nie to *męstwo!* — Męstwo! nic więcej, nic mniej nie było w tych źrenicach bursztynowych; cała potęga całkowitej, nieodwołalnej, nieubłaganie prostej i celowej — *absolutnie* celowej WOLI!

— Więc *tyś* się zjawił, *gdy to myślałam!* — rzekłam. — I odtąd pójdziesz za mną wszędzie.

Wielkie oblicze nie zmieniło się ani na włos: było w niem odwieczne „*tak*“ na me pytanie... I w bredzeniach szczęścia ujrzałam się aż w głąb’ przyszłości: bezdomną włóczęgę, czarną, nikłą sylwetkę żyjącego Cienia — na dymnie słonecznej aureoli tego monarszego oblicza, — z tym onej całości królewskim cerberem — po wszystkich drogach Żywota!

— Zresztą nic w tem dziwnego niema, — rzekłam; — rodziłam się przecie pod twoim znakiem.

I wciąż to spojrzenie — które nie wiedziało nic — prócz drogi przed sobą, poprzez wszystko, mimo wszystko.

— Więc — bądź!

Skinął niedostrzegalnie łbem wspaniałym, a potem otworzył szkarłatnie paszczę, że ujrzałam dno jego gardła; z ostrych, świetnie białych zębów wytoczył język szorstki, skrętny, — smocze żądło — i ziewnął.

— Ale co będziesz jadł? — przyszła na mnie troska. — Bo rzucać się niewolno ci będzie na nikogo! — Będziesz szedł przy mnie — to wystarcza. Damy spokój nawet tym, co w przebaczalnej naiwności będą chcieli nas krzywdzić...

Pierwszy raz zmienił się jego wzrok: — nie rozumiał, — pytał o rozwinięcie paragrafu umowy.

— Co ja ci dam jeść? — myślałam zakłopotana. —

Wiem przecie, że taka bestya musi się na coś ciskać, coś pożerać...

Nagle rzuciłam się jak od komocyi elektrycznej: — Eureka!..

— Masz! daję ci wszystkie me *prawdziwe* wrogi! — Rzucam ci na pastwę — pożeraj — *wszystkie moje grzechy!*

Głuchy pomruk ukontentowania oznajmił mi, że przymierze zawarte. I jakby dla zaznaczenia zgody, w bezprzestrzennych czerwieniach rozsłonecznił się promieniście łeb monarszy, i srogie, trójkątne, przezrocze bursztyny spojrzały na mnie z niewymownym odcieniem twardej łaskawości, a wiernego oczekiwania, jakby patrząc, czy idę — i wstać ma za mną, i iść — — — wszystkiemi drogami żywota.

Marya Komornicka.



W ogrodzie.

I.

Jak się dostałaś do mego ogrodu,
Jasna, okrutna, płomienna? —
Przecieram oczy, strwożona i senna,
I w cud nie wierzę...
Bo nigdy dotąd nie widziałam wschodu,
Bo nigdy dotąd nie widziałam słońca,
Bo nigdy jeszcze ta jasność paląca
Nie padła na moją głowę...
Pierwszy raz widzę, jak brzask rosę strąca
Na róże świeże,
Pierwszy raz widzę te świty perłowe —
I w cud — nie wierzę...

A noc? — Odeszła ta noc nieskończona,
Noc bezgranicznej tęsknoty...
Przyszedł wschód cudny, purpurowozłoty —
W płomieniach słońce...
Powiedz, ty — jasna — słońcem rozzłocona,

Zkąd ty się wzięłaś dziś w moim ogrodzie?
Dlaczego dzisiaj — tak wcześnie — o wschodzie?
Czemu w tej krwawej purpurze? —
Czy to orszaku twego suną łodzie,
Miłości gońce?..

Cicho... to lilie mrą... to pachną róże...
To idzie słońce...

II.

Wracam, gdzie kwiaty wiosna rozrzuciła hojna,
Kędy pod morzem kwiatów śpią umarłe żądze —
I wszystkich bram ogrodu zamykam wrzeciądze:
Spojrzałam w oczy słońcu — i wracam spokojna.

Dziwna — nie byłam tutaj od samego rana,
A wszystkie kwiaty kwitną mi, jak w chwili wschodu...
W seledynowe dale rajskiego ogrodu
Wracam — królowa kwiatów, nie znająca pana.

Z niepokojem uklękłam nad brzegiem jeziora...
Co to... głębia blaskami południa się pali?!
Nie — nie... w otchłannej głębi ani jednej fali —
To tylko wód powierzchnia mieni się, jak mora:

Nikt w głąb' twoją nie patrzał, duszo, nikt cię do dna
Nie przeniknął, bo słoneczne odbijasz promienie...
Nietknięty drzemie na dnie biały kwiat — wspomnienie —
To się tylko wód tafla mieni — w słońcu chłodna.

III.

Bez żalu jasne zabiłam wspomnienie.

W piersi mej wszystkie sny dziecka skonały,
Lecz na dnie duszy leżał jeden kwiat —
Zmięłam kwiat biały...

Ale nie biłam czołem o kamienie,
Nie rwałam włosów i nie darłam szat.

IV.

W haremie tęsknot samotna dziś błądzę,
Spragniona świeżych ust krwi i gorąca,
Z pod kwiatów senną wygrzebałam żądzę
I patrzę smutnie w pobladłą twarz słońca.

Wieczór nadchodzi fioletową chmurą.
Nie patrzcie na mnie dziś, oczy bratkowe,
Czemu obłewasz się wstydu purpurą,
Różo, i schylasz w dół królewską głowę?

Odwróć ode mnie twarz, daturo blada,
Blade zdziwieniem narcyzowe twarze.
Noc idzie, noc... Nie patrzcie — noc zapada:
Dziś jeszcze zwalić chcę moje ołtarze...

Cicho — to smutny wieczór... Wzrok przesłania
Jakieś krwi morze i iskier migoty.
Napróżno tłumię rozpaczliwe łkania,
Napróżno tłumię wielkie łzy tęsknoty.

Cicho — to smutny wieczór... Drżące dłonie
Z niemem błaganiem wyciągam nad kwiaty...

Tęsknię... To smutny wieczór... Zachód płonie,
We łzach się łamią złota i szkarłaty.

To smutny wieczór... Z białego kielicha
Woń się wznosiła mgłą lekką, błękitną...
Wiesz — kto raz w życiu tą wonią oddycha...
Prawda — te kwiaty dzisiaj już nie kwitną,

Wiesz — ten ostatni zmięłam własną dłonią,
Biały, przeczysty, cudny kwiat — wspomnienie...
Wiesz — kto raz w życiu oddychał tą wonią,
Nigdy już... — Cicho. Idą nocne cienie.

V.

Nie chcę czekać zachodu ponurej legendy,
Umrę w chwili, gdy świat się południem rozpala,
Na łożu purpurowych róż Heliogabala,
Ustawionem pomiędzy sztywnych lilij rzędy.

Chcę umrzeć w mym ogrodzie, umrzeć — odurzona
Wonią kwiatów, mdlejących w tęsknocie do słońca,
Umrzeć spokojna — czysta — wieczyście gardząca
Życiem, które mi zdala pręży swe ramiona.

Chcę umrzeć w mym ogrodzie, umrzeć — bez tęsknoty
Za niezniszczoną wizyą białego wspomnienia,
Bez jęków pożegnania, bez hymnów pragnienia,
Bijąc kaskadą śmiechu o strop nieba złoty.

Wróciłam, gdzie mię kwiatów mych drużyna rojna
Wita — i w niepodzielnem państwie mem znów błądzę —
I wszystkich bram ogrodu zamykam wrzeciądze:
Spojrzałam w oczy słońcu — i umrę spokojna.

Zofia Nałkowska.

Poemaciki prozą.

CUDZOZIEMIEC.

— Kogo, powiedz, kochasz najbardziej, zagadkowy człowiecze? ojca, matkę, siostrę, brata?

— Nie mam ani ojca, ani matki, ani siostry, ani brata.

— Przyjaciół?

— Używasz słowa, którego znaczenie do dziś zostało mi obcem.

— Ojczyznę?

— Nie wiem, pod jaką leży szerokością.

— Piękno?

— Radbym je kochał, boskie i nieśmiertelne.

— Złoto?

— Nienawidzę go, jak wy nienawidzicie Boga.

— Hę? Cóż więc kochasz, niezwykły cudzoziemcze?

— Kocham obłoki... przelotne obłoki... tam, ot tam... te cudowne obłoki!

ANY WHERE OUT OF THE WORLD.

GDZIEBĄDŹ PRECZ Z TEGO ŚWIATA.

Życie nasze jest szpitalem, gdzie wszystkich chorych opętało pragnienie zmiany łóżek. Ten chciałby chorować

naprzeciwko pieca, ów myśli, że ozdrowiałby z pewnością koło okna.

I mnie zdaje się zawsze, iż byłoby mi dobrze tam, gdzie nie jestem. Roztrząsam też nieustannie ze swą duszą sprawę przenosin.

„Powiedz mi, duszo moja, biedna wystygła duszo, co sądzisz o tem, abyśmy zamieszkali w Lizbonie? Musi tam być gorąco, odżyłabyś jak jaszczurka na słońcu. Miasto leży nad brzegiem morza; zbudowane jest, powiadają, z marmuru, a lud tameczny tak pono nienawidzi roślinności, że wyrywa wszystkie drzewa. Oto byłby krajobraz według twojego smaku, krajobraz ze światła, minerałów, oraz cieczy do ich odbijania!“

Dusza nie odpowiada.

„Ponieważ lubisz tak spokój, z widowiskiem ruchu dokoła, zamieszkajmy w Holandyi, tej ziemi szczęśliwości. Może rozerwiesz się w krainie, której widoki tak często podziwiałaś po muzeach. Co myślisz o Roterdamie, ty, co tak lubisz lasy masztów i okręty przycumowane u stóp domów?“

Dusza jakby oniemiała.

„Może bardziej uśmiechałaby ci się Batawia? Znaleźlibyśmy tam zresztą dowcip europejski połączony z pięknością zwrotnikową.“

Ani słówka. — Czyżby dusza moja umarla?

„Doszła-żeś już do takiej odrętwiałości, że znajdujesz upodobanie tylko w swojej chorobie? Jeżeli tak, uciekajmy do krajów, które są analogią śmierci. Wiem już wiem, biedna duszo! Pakujemy się w drogę do Torneo. Albo jedźmy jeszcze dalej, na kraniec świata, jeszcze dalej od życia, jeżeli to możliwe; osiedlimy się na biegunie. Tam słońce zukosa ledwie muska ziemię, a rzadkie zmiany światła i nocy usuwają rozmaitość i potęgują jednostajność, tę połowę nicości. Tam będziemy mogli

brać długie kąpiele mroków, a zorze północne, aby nas rozerwać, poszlą nam od czasu do czasu swój wytrysk różany , niby odblask jakiegoś fajerwerku piekielnego!“

Nareszcie, dusza moja wybucha, wołając rozsądnie: „Gdziebądź! gdziebądź! byle tylko precz z tego świata!“

Karol Baudelaire.

PO POTOPIE.

Jak tylko idea Potopu zczerstwiała: —

Zając zatrzymał się śród falujących koniczyn i dzwonków, i odmówił modlitwę do tęczy, poprzez siecie pajęczyn.

Oh! drogie kamienie kryć się jęły, kwiaty spoglądać już.

W wielkiej, brudnej ulicy stanęły stragany, poczęto ciągnąć barki ku morzu piętrzącemu się tam w górze, jak na starych rycinach.

Krew popłynęła u Sinobrodego, w jatkach, w cyrkach, kędy pod pieczęcią Boga bledną otwory okienne. Krew i mleko popłynęły.

Bobry jęły budować. „Mazagrany“ parować w kawiarniach.

W wielkim domu, o szybach jeszcze ociekających wodą, dzieci w żałobie oglądały przecudne obrazki.

Drzwi skrzypnęły, i na placu wioskowym dziecko obróciło się w kółko z wyciągniętemi rękoma, podobnie jak chorągiewki i koguty na wszystkich dzwonnicach, pod nagłą ulewą.

Pani *** ustawiła fortepian w Alpach. Odprawiono msze i pierwsze komunie przy stu tysiącach ołtarzy w katedrze.

Karawany wyruszyły. Pośród chaosu lodów i w mrokach nocy biegunowych pobudowano *Splendid*-hotele.

Odtąd księżyc słyszał znowu szakale sklamrzące w pustyniach cząbrów — i eklogi dwukopytne krząkające w sadzie. Potem, w borze fioletowym, całym w nowych latoroślach, Eucharis powiedziała mi, że to wiosna.

Rozlej się, stawie; — piany, zatopcie most i rozfalujcie się nad drzew szczytami; — kiry i organy, błyskawice i grzmoty, wzbierzcie i toczcie się; — wody i smutki, wzbierzcie i zastąpcie dawne potopy.

Bo odkąd te wyparowały, odkąd — oh! skryły się drogie kamienie a kwiaty otwarły — nuda, nuda bezbrzeżna! — a Królowa, Czarownica, utrzymująca żar w garnku glinianym, nie zechce nigdy opowiedzieć nam, co wie, a co nam niewiadome!

Artur Rimbaud.



PRZEŁOŻYŁ I. N.

Maskarada.
(TRYPTYK).

I.

Męczeństwa
dzieje ogólno-bydlackie świadczą, że pono
za to wilki tępiono,
iż się nie chciały zlać w społeczeństwa
roślinożerne, w które wnosiły swoje kanony:
wilk — ani weź do brony,
lubi krzywdę cudzą,
rozbój i manowce.

Do urządzeń społecznych niemasz jako owce,
które mięsem nie żyją, więc zawsze się łudzą,
że do życia wystarczy roślinna pobudka.

Smutna to historya i niekrótka.

Otóż, rodzina wilków zagrożonych wieżą,
infamią, kłów wybiciem i utratą mienia,
taką rzecz postanawia ze swoją młodzieżą.
Mając stek skór złupionych z owiec, tą odzieżą
młode wilczki obszywa i w owce zamienia,
którym tak zapowiada: — „Pamiętajcie, smarki:
w myśli — korzyść, w słowach — cnota!
społeczne motta

głosić! baranom karki
głaskać! a ciszkiem — chyłkiem:
niech ginie hołota!
To róbcie, gdy nie chcecie życia przejść z wysiłkiem
i z czczemi gardły."

Co rzekłszy, stare wilki westchnęły i zmarły.

Zaczem pseudo-trawożrące
wilczęta
połączyły się ze stadem owiec, następujące
uwarowawszy *pacta conventa:*

Strzygać się mają autochtony,
a zaś przybyszom, latem czy zimą,
wolno mieć kożuch nieostrzyżony:
to jest *pro primo.*
Dalej, ponieważ zowczeni wilcy
mocniejsi w pysku niźli tubylcy,
przeto i zatem
ostatni muszą prenumeratę
na ogólniki uiszczać z góry:
to jest punkt wtóry.
Nakoniec, żeby, w przyszłości, bratnie
zmniejszyć niesnaski,
niech immigranci nazwą się na *ski:*
to jest po trzecie. Zaś po ostatnie:
ma, dla rękojmi złączonych stanów,
sejm ubezpieczeń
istnieć z baranów.
Dan góra Wawel.

Owczarz, swojski Maćkiawel,
wymówił sobie wolność zaprzeczeń,
i donająwszy kundla-adjunkta
przyjmuje radem
sercem punkta
statutu rzeczy.

I odtąd wszechowczości nastąpiła gala.
Kundle coś wietrzyły zdradę,

ale Maćkiawel przeczy —
przeczy oraz „nie pozwala“;
często bywał też „upity“...

Choć jak tu się nie mylić? Też same nazwiska,
taż sama cnota,
taż społeczno-barania idealność tryska
z mów hipokryty,
co to bij na każdego, kto nie patryota
w gębie, nie stadowiec,
kto nie działa w owczarskiej pozytywki tonie?..
Jakże wśród owiec
poznać krwiożercę,
który w najczystszym głosi żargonie,
że milion kocha
calutkiem sercem,
śni o milionie?..

A owca?.. Owca zmysł ma tępy:
nie wierzyła w podstępy,
nie wierzy i ninie;
więc co i trocha,
to któraś ginie.

Zaskrobał się w łeb owczarz, lecz mówią rabusie,
że zdaje mu się,
albo że — ot, biedna:
namiętnością wiedziona dociekań w naturze,
poszła sama jedna
w gąszcz i że tam ją zaskoczyły burze.

Chodzi owczarz z głupią miną,
a owce giną i giną.

Wilkom raj: syto i miło.
Jak prałaterya, jak gospodynie,
tak to potyło:
każdemu runo w przegubach trzaska.

II.

Raz jakoś adjunkt, na krwawym czynie,
jednego zdybał gdzieś ananaska.
Co? jak? — do sądu: sprawa o mórd i o czary.

Oskarżał Tryk-Tryk baran.
— „Zachodzą fakta" —
mówił — „nie do wiary,
nad pojęcie wszelkie.
Jak świadczą akta,
i według opinii
biegłych, podsądna tutaj owczyni,
zamordowawszy tę oto, jako dowód rzeczowy
tutaj obecną obywatelkę,
z „takowej" zżarła
kawał zrazowej.
Owca i mięso bierze do gardła!..
To dziw! to czary!
to wbrew naturze!
Dokąd dążymy?.. Odwieczny
ład tu kona społeczny!..
Chcę głównej kary."

Tu obrońca wystąpił — wilk w baraniej skórze.
Zaznaczył z początku,
że mało w oskarżeniu zdrowego myślątku.

— „Słyszeliśmy" — tak zaczął wyć — „wysoki sądzie,
jeżeli nas nie mylą prawa akustyki,
słyszeliśmy o czarach — tym przesądzie,
któryśmy wyrzucili, my, już na śmietniki,
wraz z wszelakiem rupieciem istności nadziemnej.
Czarom, gusłom, poezyom dziś kto wierzy? — ciemny.
Śmieszne dziś cuda, entuzyazmy —
dziś, kiedy byle jagnię wytłómaczy, prymus,
wszystko na świecie, prócz protoplazmy!..
Tu tylko zawsze — *ignorabimus*.
Zaszlim, gdzie można, — i dość! Życia kęsa!
życia wołamy, użycia, krwi, mięsa!
Pragniemy haszyszy,

z obór i stajen, z owczarni i chlewka,
a poezyą nam: wycie, gwizd i pozytywka!..“

Tu przerwał, chłepnął wody łyk — dwa — i wył ciszej:

— „Owca zagryzła owcę. Oto zbrodni
szkielet. Sędziowie godni!
Cielę wie dziś majowe,
że krowa bodzie krowę,
pies psa wywodzi w pole,
krewne dziobią się kury,
że świnia... że wogóle
indywiduum swojskie, tak zwane społeczne,
jedno drugiemu szkodzi.
To jest odwieczne
prawo natury,
a moralność wysoka
ta jest jedynie, co z prawem się godzi.
Kruk tylko — kruk krukowi nie wykole oka.
Ale czyż prawem dla nas solidarność krucza —
ten jakiś tam światek
prawdziwy lecz nieprawy, bo bez prawnych kratek?
Nie tego nas *barania*
moralność naucza.
Wobec niej, tutaj niema podstaw do karania:
oskarżona jest bez zmazy...
Ach — z ofiary jadła pieczeń,
czy tam zrazy!..
niema przeczeń.
Lecz sędziowie przysięgli i obywatele moi!
gatunków rozwój, który stoi
na prawdzie docieczeń,
którego broni mędrców plejada,
zamiast by pchnął nas witać wśród stada,
z krzykiem radości,
owcę niezwykłą, jak mesyasza
mięsożerności: —
my w niej, w tej owcy, widzim li winę.
Czyż to nie boli?
Czyż nazawsze dla owiec jadłem ma być kasza,
przysmakiem — głaz soli?..

Czyż zawsze się będą z owiec baranowie lęgli?..
Ja sądzę, że łaskawszą będzie przyszłość nasza,
i tusząc, że wilkami będą nasze wnuki,
proszę, wynieście werdykt, sędziowie przysięgli,
na sumieniu oparty i prawach nauki."

Dano głos podsądnemu. Ten rzekł:
— „O Minosi!
Jest przysłowie
wśród wilków takie: póty nosi
wilk, aż jego poniosą. Choć, sędziowie,
jeśli
tom rzekł, to nie żeby siebie równać z wilkiem,
tylko — ot mnie ponieśli...
Żyjem, a za chwilkę
śmierć... tfy-tfy!.. pędzi,
śmierć, która nie pyta,
kto tam z krawędzi...
i wyciągasz pazury... tfy-tfy-tfy!.. kopyta.
Tak, tak. Ot i nieboszczka... Jeszcze wczoraj, giezło
jej bieluteńkie prażyło słoneczko,
a dziś — już się jej zczezło,
jak mówi poeta.
O gdzieżeś, owieczko?..
Gdzie ten bieg twój chybki?
gdzie ta żywość, która ci rozwidniala ślepki?
gdzie ten?.. gdzie to?.. gdzie ta?..
jak mówi poeta...
Spotkałem ją sam-na-sam, na rubieży
leśnej. Przywitałem czule.
Rozmowa. Prosi, żeby powiedzieć jej coś o ogóle.
— „Rozczytuję się" — mówi — „w tej waszej bibule,
a kto ogół? gdzie leży?
i kto go stanowi? —
nie wiem, choć mnie tu zabij."
Ten zwrot o zabiciu
podsuwa mi myśl grecką,
zwaną sofizmatem,
i rzekę: — „Ogół — to niby wszyscy, zatem
i ty jego drobiną jesteś, moje dziecko;
a kiedy skręcisz szyję,

po najdłuższem życiu,
to zawsze: ja, ten, tamten, słowem — ogół żyje,
wieczysty,
i ty, jego część, mówiąc stylem finansisty,
masz dywidendę
nieśmiertelnego w ogóle istnienia..."
I tu mnie, własnej loiki rozpędem
zdjętego, takie natchnęły olśnienia,
żem niebogę wyprawił zaraz między bogi, —
na które was zaklinam... Jeśli zawiniłem...
niech się los sieroty
spełni co do nogi... tfy-tfy... co do joty...
Wam, sędziowie, powierzam swój żywot i dolę."

Przysięgli — same wilki — rzekli: — „Wolen! wolen!"

Zaczem w publiczności
szał wybuchnął. Do owcy mniemanej
tłoczą się z objawami czułości barany.
Owce płaczą. Bek. Ciżba: zwarty bok przy boku.
Jagniąt kilkanaścioro
ugnieciono w tłoku...
Ach, oddalibym pióro
społecznym poetom,
radym malować prawno-sercowe rozruchy
i byłaby *la tutta fabula finita*...
Niestety, owczarz krzyknął: — „Nie pozwalam! veto!"
— „Zajrzyjcie" — pies zawołał — „sędziom pod kożuchy...
mam pewne podejrzenia... tu owca podszyta"...
Lecz przysięgli zawyli chórem klątw, zaprzeczeń,
i sprawę przeniesiono na sejm ubezpieczeń.

III.

Sejm. Owczarnia na Wawelu.
Barany. Owce. Maćkiawel. Przy Maćkiawelu
kundle — pachoły
zbrodnia trzymają za poły.

Rajców brak wielu,
ile że w okresie
apelowania, wedle ustaw procedury,
niejedna się biesiada
rozegrała w łesie,
w ogólniejszym celu,
na który się składa:
szczęścia, dobra i wiedzy orgia wśród stada.
Według zeznania wilków, zdusiły pomorki
znów sześć tryków i skopów pięć i trzy maciorki.
Strach padł. Odzywa się już sporo wotów
nieufności
względem każdego z wilczych patryotów,
co to krzyczy o ogóle,
a sam — sam nie pości:
owszem, zjada na boczku smakowne pieczenie.

By uciszyć wrzenie,
tak zagaił sejm baran - marszałek, Rambouillet:
— „Wszem wiadomo tu wobec“ — rzekł — „i po szczególe
każdemu, że owczarni dobro zawiera się
w rasie baranów,
których sprawność
uszlachca mięs i run poprawność.
Bowiem od czubka rogów do spodu kopytek
ideą naszą baranią — *pożytek*.
Z dumnem czołem wyznajmy tę prawdę niemglistą:
każde bydlę z natury jest *pożytywistą*.
Żyć — żuć znaczy; *pracować* — znaczy tworzyć kały.
Raz dajmy wyraz śmiały
naszemu myśleniu!
Niech zdycha, kto w zaślepieniu
tknie w te ideały
wprost czy z ukosa!
Tu, panowie, nie można źdźbła ustąpić, włosa!
I wszelka pobłażliwość tu zgubi owczarnię!..

Nie będziemy rozstrzygać tutaj *in merito*
sprawy. Panowie! Zabito
owcę. O jednostkę zmalała trzoda pracowita.
Kto to zdziałał? Podsądny. Niech przepada marnie.“

Tu, z gestem artystycznym, uderzył marszałek
potępień gałką w dno urny od gałek
i dodał: — „Imć panów radców poproszę o zdania.“

Wstał imć baran Negretti, członek urządzania
zabaw na ogólne cele.
Jego mowa skreślała
znaczenie dobrobytu. — „W zdrowem“ — mówił — „ciele
wszystko; duch wyrasta z ciała
jako z mierzwy zboże, —
duch rasowego, zdrowego barana,
który nie pyta, jak żyć? Wszakże wiemy. Z rana
spacer w ugorze
i *lunch*. Potem drzemka,
wodopój, obiadek w łubinie
i siesta higieniczna, bo przedspoczynkowa.
Są to — ani słowa —
obowiązki i prawie — jarzemka,
ale życie płynie
pełne cnót, wesela,
podobne do święta,
spokojne, bez iksa.
Tutaj hoże jagnięta
grono macior mamczy,
inne uczą się manier u dojrzałych matron;
tam się o indygienat samczy
młodzież tryksa
łbami na wyścigi;
a ówdzie mężów turniej, z którego wynika,
kogo też powołają na tron
rozpłodnika...
Oto jest życie jedynie
godne obywatela,
członka „żurfiksa“
arystokratycznej baraniej ligi;
kto się z tym ideałem nie godzi, niech ginie!“

Tu, na marszałka
gest, do urny upadła druga czarna gałka.

Z kolei wstał don baran, Wielki Rozpłodowca,

znany ze swawoli.
Gdzie tylko była owca
mająca, czy kibić
giętką, czy bujniejsza runem,
czy też wdziękiem beczenia pragnąca się wybić:
on ją pierwszy w świat wyższy „lansował“ piorunem,
i — mówiąc nawiasem, —
gdy chciała minąć kolej,
to ją brał ciupasem;
a tak, mimowoli,
szczęście mnożył *ogólne* i ulepszał rasę.

Łącznem spojrzeniem ojca i ojczyma
trzody, spojrzeniem jasnem, właściwem junakom,
powiódł po sejmie
i rzekł rzecz taką:

— „Płodzić dobytek — to rzeczy jądro,
rerum anima.
Kto wielkiej chętki
wszechsamczej nie ma,
ten sobie cząstkę obrał niemądrą.
Płodzić — a reszta obchodzi mniej mnie.
Co do obecnej tu delinkwentki,
to na nią raz-em
się złasił, ale mnie żgnęła w zadek
niezbyt uprzejmie,
Negretti świadek.
Win puszczać płazem
tych się nie godzi.
Niech ginie każdy, kto samcom szkodzi!“

Tu, na marszałka
gest, do urny upadła trzecia czarna gałka.

Następnie, głosem cichym, drżącym, eunusim,
Skop przemówił. — „Nad słodką płodzenia zabawę,
od której my się nieco zdala trzymać musim,
nie miałem ja milszego w życiu zatrudnienia.
Lubiłem, gdy samicy grzbiet... ach te wspomnienia
nie dają się zatrzeć,

nie mogą zarość!..
Dziś mam nogi — słabawe,
doznaję trzęsienia,
wiek już trochę oskopił moją samczą jarość,
nie mam tego wigoru, tego sił rozlewu...
ale i dzisiaj lubię bodajby popatrzeć,
popieścić się wełną...
Nie będzie to rozkoszą zdrowotną, zupełną,
mais que voulez-vous?
Dzisiaj-em platonik, idealista,
dziś potępiam każdego, kto zbytnio korzysta,
kto skory w czynie...
Podsądny — niech ginie!"

Tu, na marszałka
gest, do urny upadła czwarta czarna gałka.

Piąty głos roztacza
baran wytrawny, cieszący się opinią
ćwika i głowacza,
dla mądrości życiowej nazywany Świnią.

— „Panowie! Ja mniemam,
że dziedzictwo pożytku czyli
pożytywizm, zabawnictwo czyli
zabaweizm, płodzeniostwo czyli
płodzełityzm, oraz idealistyczne
do płci wzdychanie czyli
skopeizm: wszystkie te, dość liczne
kierunki, biegi, prądy czyli
parcia — o słówko rogów nie będziem kruszyli —
słuszne i — mniemam —
ewolucyoniczne.
Nic naprzeciw nie mam.
Zawsze i wszędzie,
taka czy inna moda, szkoła, szkółka
jakowaś być — będzie.
Świat się kręci do koła, gdy chcecie — do kółka.
W sferze polityki:
tryk-wczora, skop-dzisia,
dziś — przewaga barania, jutro — patrzysz — lisia;

wczoraj psów panowanie było, a dziś — kotów.
Z tego zaś wynika:
bądź na wszystko *gotów;*
w życiu codziennie trzeba zmieniać szyki.
Mądrość na gotowości wsparta, na liczeniu się z *gotówką,*
jest najlepszym *izmem;*
nazwałbym go — jeżeli wam chodzi o słówko
tu — *gotowizmem.*
System ten z fanatyzmu (a to nie przechwałka),
z pesymizmu i z innych smutków duszę leczy"...

— „Do rzeczy! do rzeczy!" —
przerwał głos marszałka —
„Proszę, jaka gałka?"

— „Ja za większą większością zawsze głosowałem" —
rzekł Świnia i do urny wrzucił czarną gałę.

Potem inni mówili mówcy, mniejszej mocy,
lecz niemniej czcigodni.
Więc przemawiał Teporóg, dobroduszna dusza:
zaczął coś od etyki a skończył na zbrodni.
Najwięcej — mówił — rznięcia
odbywa się w nocy,
kiedy stróże w objęcia
wpadną Morfeusza;
to jeszcze dosyć ujdzie, lecz przy świetle białem
zarzynać — niemoralnie. Rzucił czarną gałę.

Dalej Trykacz, estetyk, rzekł, że estetryka
może w tłum przenikać:
dość jest trykać, trykać, —
zatrykać szkodnika.

Jeszcze mówił Krzywotrycki,
też o sztuce estetryckiej,
czyli o takiem
umieniu stukania łbem, by dusza rosła.
Sztuka to podniosła,
ale trzeba stukać pod społecznym znakiem:
kto łbem w ofiarną

owcę palnie
indywidualnie —
ma gałkę czarną.

Jeszcze, jeszcze mówili, ale już nie zliczym.
Jedni mówili prawdę baranią,
niektórzy posunęli się aż do oszczerstwa,
zaś mów tłem zasadniczem
była obawa baranożerstwa,
podrzędnem — czary.

Wszyscy chcą — kary!

Przeto kundle chwyciły szkodnika
za bary...
Ten, że tak powiem, nóż mając na krtani,
zawył w głos barani:
— „Gwałt, gwałtu, gwałtu!“

I wtedy, jak chce owa kronika,
z której czerpalim treść całokształtu
bajki, cud taki się stał tu.

Wilki, jako mąż jeden, zrzuciły domina,
i nie zważając: cnota-li to, błąd-li
jest baranina?
mimo *veto* owczarskie, mimo opór kundli —

co do jednego zjadły karmazyna.

Jan Lemański.

Kronika miesięczna.

GLOSSY.

„Modernizm“ i poszukiwacze arcydzieł. — Co to jest „modernizm“? Kto są „moderniści“? Co mają znaczyć te nonsensowe, z berlińsko-kabaretowego żargonu zapożyczone terminy — w zastosowaniu do naszej literatury? Używala-ż u nas tego nazwiska jaka grupa, szkoła lub choćby jednostka literacka? Występowano-ż w obronie jakiej, tak utytułowanej doktryny? Pojawiały-ż się jakie manifesty „modernistyczne“, toczono-ż jakie polemiki, próbowano-ż uzasadniać istotę i wartość takiego kierunku i takiej nazwy? — Nie. Widziadło „modernizmu“ i modne dziś jego imię — podobnie jak poprzednio przeróżne dekadentyzmy, symbolizmy, secesye i t. p. — wymyślili, a raczej splagiowali krajowi rycerze krytyki dziennikarskiej czy „naukowej“, parodyujący don Kichota i walczący uparcie z wiatrakami... KTÓRE SAMI POBUDOWALI — z obcych naturalnie, najczęściej berlińskich, *tanich* materyałów. Raz nakoniec stwierdzić trzeba kategorycznie fakt niesłychanej, tak bezczelnej czy naiwnej, że aż śmiesznej obludy, która jednak dotąd nie została wystarczająco zdemaskowana i dotąd służy do bałamucenia wierzących w to, co wydrukowane, czytelników.

Gdy lat temu dwadzieścia i kilka, na Zachodzie, nad wyjałowiałą mielizną naturalizmu wezbrała potężnie fala nowej, głębokiej twórczości i wszczął się zdumiewająco płodny ruch odrodzenia literacko-artystycznego, — byli u nas ludzie, którzy, zapoznawszy się z nim dokładnie, bezpośrednio, z pierwszej ręki, mogli i umieli wyróżnić wewnętrzne, twórcze, jedynie wartościowe jego objawy pośród zwykłej zewnętrznej plewy *Sturm-und-Drang*'owych fraze-

sów, póz, haseł, manifestów, swarów, napaści, panegiryków, *cenacle*'ów, kapliczek, plotek i anegdot. Zaznajamiali tedy społeczeństwo własne z istotnemi talentami, z kapitalnemi dziełami, z głębokiemi ideami, ze szlachetnemi formami piękna, wynoszonemi na brzeg przez ten wartki prąd nowy, — *nie biorąc ich zresztą sobie, ani dając innym za wzór do niewolniczego naśladownictwa*, lecz wierząc niezłomnie, iż każda rzecz piękna i głęboka, dla rzeczywistych, krzepkich indywidualności twórczych, podnietą tylko ożywczą, stymulem rozbudzającym być może i musi. *)

Ale tych sumiennych badaczy, tych bezinteresownych zwiastunów piękna nowego było nad wyraz mało, trzech lub czterech zaledwie. Kolosalna większość krytyków krajowych (90%, rzec można śmiało), z godną uwagi pewnością siebie, rozprawiała jednocześnie (i rozprawia do dzisiaj) o „nowych prądach na Zachodzie“, nie mając o nich najmniejszego pojęcia, nie wiedząc, kto je reprezentuje, nie znając bezpośrednio, z dzieł twórczych, ani jednego prawie z wybitnych istotnie autorów, i polegając wyłącznie na plotkach i anegdotach dziennikarskich, na niedołężnych pamfletach doktrynerskich w rodzaju Nordau'owskiego *Entartung* i na manifestach różnych niezdarnych, ale tem hałaśliwszych ciurów i maruderów armii odrodzenia. Sypały się lawiną artykuły, rozprawy, broszury, książki, „Schyłki“, „Rozkłady“, filozofie dekadentyzmów, symbolizmów, instrumentyzmów, a później secesyonizmów i modernizmów. Zdawać się mogło, iż nowy ów ruch literacko-artystyczny nigdzie tylu, co u nas, nie znalazł znawców, analistów i komentatorów. Tymczasem, całe te stosy makulatury dostarczały czytelnikom — obok zdawkowej, wytartej, wszędzie zastosować się dającej i wszędzie nic nie znaczącej frazeologii — tylko kumoszkowskich plotek (o zepsuciu Baudelaire'a, o alkoholizmie i więzieniu Verlaine'a, o zboczeniach płciowych Oskara Wilde'a lub... — oh, jakaż *haute nouveauté!* — Stefana George'a, o satanizmach Huysmans'a i Peladan'a, o kawiarnianych lub kabaretowych posiedzeniach

*) I wiara nie zawiodła, a praca nie była daremną. Znalazło się wprawdzie kilku karyerowiczów czy snobów, którzy niewolniczo jęli naśladować czy to Maeterlincka, czy Heredię, czy Nietzschego, czy Rimbauda, ale były to chwiejne bluszcze, które wogóle cośkolwiek naśladować musiały, czego najlepszym dowodem ich szybkie i równie powierzchowne przerzucenie się ku jeszcze modniejszym rzeczom: swojskościom, rostando-hauptmanizmom i t. p. Na wszystkie rzeczywiste, wielkie talenty ów podmuch z zachodu podziałał wyzwalająco i skrzepiająco, rozwiał zatęchlizny, próchna, pleśnie doktryn i nawyknień, zwrócił ku wnętrzu własnemu, skłonił do pogłębienia się i skupienia — i był pierwszym powodem owych nieoczekiwanych, olśniewających transfiguracyj, na które dziś patrzymy.

cénacle'ów, o komerażach, zawiściach, manifestach i kontr-manifestach) — albo też najbalamutniejszych nonsensów i banialuk literackich i estetycznych (o teoryach Gauthier'a (sic) i Banville'a „nieżądających od poety ani natchnienia, ani wielkiego rozumu", o *vers-libre*'yzmach Verlaine'a (!?), o zawiłościach i sztucznościach Baudelaire'a, o muzyce wiersza mającej jakoby *zastępować* treść (!!), o „supremacyi" formy i jednocześnie o zepsuciu języka, składni, wiersza u dekadentów i symbolistów, etc. etc. etc.). W ciągu paplaniny tej, ani jedna cecha rzeczywista nowego zwrotu w literaturze i sztuce nie została wyraziście stwierdzoną i scharakteryzowaną, ani jeden wybitny talent — należycie odczutym, zanalizowanym i ocenionym. Wszystkie owe zwalczane szkoły, kierunki, etykiety, jak były, tak są czemś zupełnie niepewnem, z powietrza wziętem, fantastycznem, widmowem, najświeższe zaś próby ogólnej charakteryzacyi spółczesnego przełomu literacko - artystycznego, jako nowego romantyzmu czy neoromantyzmu, stanowią bezcelową tautologię dwóch niewiadomych (bo naprzód należałoby załatwić się ze sporną do dziś kwestyą *istoty* romantyzmu), oraz rezygnacyę poniekąd, przyznanie się do niezdolności określania inaczej jak przez analogie. Co do poszczególnych postaci — jeżeli dla przykładu weźmiemy literaturę francuzką — któż, przebrnąwszy całą powódź studyów, szkiców i uwag o „nowych prądach Zachodu," dowiedział się czegokolwiek o takich pierwszorzędnych pisarzach, jak H. de Régnier, Fr. Viele - Griffin, R. de Gourmont, M. Schwob, Saint - Pol - Roux, A. Gide, P. Fort, K. Mauclair, i t. d.? Gorzej — któż, do ostatnich czasów wiedział coś istotnego o omawianych, a raczej oplotkowywanych tak często w wypracowaniach tych — Verlaine'ie, Mallarmé'm, Villiers de l'Isle Adam'ie, Peladan'ie, Leonie Bloy, Laforgue'u, Rimbaud'zie? Podziwy i zdumienia czytelników, gdy jęły się pojawiać w odpowiednich przekładach niektóre kapitalne dzieła tych wysokich twórców, świadczą najlepiej, iż, po tylu mniemanych „badaniach" nowych prądów, wszystkie potężniejsze i rzeczywiście przemianę, zwrot reprezentujące talenty zupełną były nowością i niespodzianką. A co do odrodzenia belgijskiego, toć przecież świeżo jeden z tych, co, chcąc okazać wyższość „krytyki" własnej nad „wielbicielstwem" innych, zaręczali, iż „do ubóstwiających Maeterlincka nie należą," — oświadczył *urbi et orbi*, że „nowa Belgia znalazła swój wyraz *pełny i całokształtny* w Maeterlincku." A Verhaeren, Eekhoud, Lemonnier, Demolder, Rodenbach, Giraud, Elskamp, Mockel, nie niżsi bynajmniej talentem od Maeterlincka, a takie zupełnie inne, bardziej snadź jeszcze zasadnicze rysy i cechy „nowej Belgii" w dziełach swych uwy-

datniający? Ale prawda: żaden z nich nie jeździł, jak Maeterlinck z ostatniemi sztukami swojemi, po całej Europie, żaden przeto „nie wsławił rodu i nie podniósł go do wyżyn wszechludzkiego hołdu i uznania.“ A przytem o żadnym z nich niema gotowej pod ręką monografii...

Tej zwartej ławie dyskutujących *de lana caprina* „krytyków“ solą w oku być, naturalnie, musieli wspomnani wyżej nieliczni znawcy istotni spółczesnej twórczości Zachodu, wyrywający im niejako grunt z pod nóg, demaskujący ich absolutną nieznajomość rzeczy, wykazujący potęgę autorów i dzieł, których oni dopatrzyć się nie mogli, odsłaniający piękno tam, gdzie oni znajdowali tylko ohydy, chorobliwości, karyerowiczowstwa lub śmieszności. Trzeba było zdyskredytować dyskretnie tych niewygodnych koneserów, podkopać znaczenie ich słów, zbagatelizować lub też uczynić podejrzanemi ich wnioski i twierdzenia. I rozpoczęła się komedya, homerycznego śmiechu tem godniejsza, że nikt się na niej nie poznał i nikt się nie śmiał. Ludzie operujący całe życie najbardziej zużytemi liczmanami słów i wyobrażeń wykrzykiwali przed ich wywodami z hamletowskim patosem: słowa, słowa, słowa! „Nierozumiejący z zasady“ zaręczali subtelnie, iż znawców tych może zrozumieć chyba ten, co już „z innych źródeł“ coś wie o rzeczy. Impotenci uwielbienia, czyli warszawsko- lub krakowsko-*naukowi* krytycy, jęli wytrwale, uporczywie, przy każdej sposobności suggerować z protekcyonalnie-wzgardliwym przydechem, iż są to tylko „wielbiciele“ (porównaj filisterski akcent w wyrażeniu: „to poeta!“), t. j., ludzie, którym zbyt gorąca admiracya nie pozwala patrzeć jasno, krytycznie, i każe podziwiać naiwnie nawet dziwactwa, waryacye, blagi i eksperymenty danego autora. Przeszczepiacze najmizerniejszych zagranicznych anegdot reporterskich, występując niby w obronie „krytyki i twórczości samorodnej,“ zarzucać im poczęli niemniej ustawicznie (ufni, że największe głupstwo, stale powtarzane, wreszcie się utrze) — „przeszczepianie idei obcych,“ tak jakby całe dzieje literatury i sztuki nie były ciągłą wędrówką, ciągłą wymianą, ciągłą transformacyą idei, i tak jakby wielka idea, swoja czy obca, stara czy nowa, nie była zawsze płodnym posiewem, o ile — naturalnie — na krzepką, nie bojącą się o „złamanie swej indywidualności“ natrafi duszę. Pacanowscy „światowcy,“ którzy, o ile wyjrzeli za granicę swego powiatu, trafiali odrazu i niezmiennie na „bijące sercem świata“ bulwary albo do pełnego „Sturm-und-Drang'owych“ plotek i meskineryj kabaretu, próbowali „delikatnie“ wyszydzać zaściankowość, parafiańszczyznę „uwielbień“ dla jakichś tam obcych autorów czy artystów, których nie po-

stanowiono jeszcze nazywać prometejskimi. Karyerowicze, wreszcie, i snoby, którzy, dowiedziawszy się o „modnych“ za granicą (jak im się zdawało) przedstawicielach „nowych prądów,“ nie omieszkali pierwsi niewolniczo ich naśladować, naturalnie z najbardziej powierzchownej, manierycznej strony, — uważali za stosowne, zwróciwszy się ze zdumiewającą giętkością ku innym, jeszcze modniejszym bogom, insynuować, gwoli osłonięciu sobie tyłów, iż owi „wielbiciele“ zagranicznych nowatorów są też, we własnych pracach, ich naśladowcami, oraz wrogimi wszelkiej swojskości i samodzielności apostołami ich doktryn i estetyk.

Ztąd był już tylko krok jeden do odnalezienia naszych krajowych, identycznych z zachodniemi, „nowych prądów.“ Skoro mamy wielbicieli, przeszczepiaczy, apostołów i nawet pierwszych naśladowców nowatorstwa zagranicznego, więc muszą być i tacy, którzy uwielbieniu temu porwać się dali, na których przeszczepiane idee się przyjęły, którzy niezwłocznie prozelitami się stali żarliwymi, którzy za pierwszymi naśladowcami hurmą poszli. Więc — mamy własnych, swojskich dekadentów, symbolistów, instrumentystów, secesyonistów, modernistów. Wniosek trochę nazbyt od ogona się zaczynający — bo zdawałoby się, iż, aby módz wydawać syntetyczne sądy o szkołach, kierunkach i zwrotach całych w literaturze czy sztuce, należałoby naprzód przyjrzeć się ich najwybitniejszym przedstawicielom, rozebrać ich cechy zasadnicze — i odszukać najogólniejsze, wspólnie ich wszystkich, pomimo różnic indywidualnych, charakteryzujące rysy. Nic podobnego nie zrobiono. Na owej kolosalnej farsie z zagranicznemi „nowemi prądami“ przekonano się dowodnie, że latwiej wojować z zewnętrznościami, z anegdotami i plotkami, niż z ideami, które trzeba mozolnie wyczytywać i wyrozumiewać, oraz że wygodniej i bezpieczniej gadać o szkolach, kierunkach, etc., i to, o ile można, nieokreślonych, niż o poszczególnych osobistościach i dziełach, bo wtedy i fantazyować można swobodnie i nie obawiać się żadnych replik, sprostowań i... kompromitacyj. Z tego punktu widzenia, fakt, że w kraju nietylko NIKT nie przystrajał się w te cudzoziemskie etykiety, lecz wogóle NIE BYŁO żadnych grup, szkół, haseł, gromadnych Sturm-und-Drang'ów *), mógł się wydać

*) Nie wchodząc w zbyt szeroką kwestyę powodów oraz dodatniości czy ujemności zjawiska, — stwierdzić tu musimy, iż od najdawniejszych aż po ostatnie czasy nie znaleźć w piśmiennictwie naszem śladów tego tak wybitnie charakteryzującego francuzów (a poniekąd i niemców) *esprit d'enrégimentement et d'étiquettage immédiat.* U nas każdy chodził swojemi drogami, każdy mówił za siebie tylko, a mówił zawsze naprzód dziełami, nie zaś haslami lub teoryami. Żadnych antycypujących twórczość

tylko nader szczęśliwym i pożądanym. Odbierało to wprawdzie możność zaczepienia się o cośkolwiek w rzeczywistości, ale za to swoboda „twórcza“ żadnych już stanowczo nie miała granic. STWARZANO tedy bez wahania — ściśle, rzecz prosta, według zagranicznych fasonów — WIDZIADŁA różnych „prądów“ i „kierunków,“ a uporczywością i gwałtownością napaści na te „nowinki“ — w imię najświętszych podobno ideałów społecznych, narodowych, życiowych, prometejskich i t. p. — starano się, nie bez skutku, niestety, przekonać] czytelników o rzeczywistości groźnych mirażów. I lat już

i gromadnie za sztandar branych manifestów nie znaleźć w literaturze naszej. Walka romantyków z klasykami była u nas, właściwie, starciem osobistem Mickiewicza z krytyką warszawską, a odpowiedź „krytykom i recenzentom“ — raczej ostatnim tej walki etapem, aniżeli zapowiadającym ją manifestem. Próby regionalnych, przynajmniej z nazwiska, wyodrębnień (t. zw. szkół mazowieckich, ukraińskich i in.) również do indywidualnych sprowadzały się wymiarów — i przez twórczość raczej mówić zamierzały, niż przez rewolucyjne napory. „Cyganerya warszawska“ była czemś zupełnie luźnem, terminem raczej towarzyskim, obyczajowym, aniżeli historyczno-literackim. W Murgerowskiej „Boheme“, między nazwiskiem a twórczością uczestników daleko ściślejszy zachodził związek. W ostatnich czasach, artykuły A. Górskiego o „Młodej Polsce“ przedstawiają raczej czysto osobisty pogląd na stany duszne spółczesnych generacyj twórczych, aniżeli dogmatyczne lub apostolskie oświadczenie się w imieniu jakiejś zbiorowości. Przybyszewski pisze swe „Confiteor“ nie jako program, lecz jako syntezę własnych, indywidualnych pojęć o sztuce, jako teoretyczny poniekąd epilog do poprzednio ogłoszonych dzieł twórczych. „Życie“ krakowskie drukuje nie wyznawców tylko, nie członków sekty. lecz od Przybyszewskiego do Sieroszewskiego. „Chimera“ wreszcie — z którą lepiej snadź byłoby zaznajamiać się z niej samej, aniżeli z bezdennie naiwnych czy mizernie wykrętnych insynuacyj o propagowanej „pono“ przez nią sztuce „nieruchomej“, „pozbawionej treści“, „drepczącej po ścieżkach muzealnych“, „wrogiej życiu“, „zamkniętej w wieżach takich czy innych“, etc. etc. — „Chimera“, powtarzamy, przypomniała tylko najgłębsze, niezmienne podstawy sztuki, obowiązujące nawet w epokach dokonywanych w niej „rewolucyj“. Postawiła ona postulaty, niedogodne tylko dla wszelkich surogatów i plew, ale tak szerokie, że każdy talent istotny, każdy twórca prawy, każde dzieło wielkie, swobodnie w nich, mimo różnic indywidualnych, obracać się może. Żądała, aby każdy dawał siebie, tylko siebie, nie powierzchowne wszakże i przemijające swe cechy, lecz swą głąb', swoją istotę, swe ku wieczności zwrócone oblicze. Drukowała płody wszystkich krajów, epok, szkół i kierunków, o ile tylko były to dzieła szczerego, głębokiego natchnienia.

Gdzież są tedy owe wyłączne, doktrynalne prądy, kierunki, szkoły, sekty, kapliczki, których istnienie tak długo wmawiano cierpliwym czytelnikom? Zwrot wielki zarysowuje się wyraziście w całej nowej literaturze. Jest coś, co niewidzialnie łączy ostatnie dzieła Żeromskiego, Kasprowicza, Wyspiańskiego, Berenta, Komornickiej, Reymonta, Micińskiego, Staffa, Lemańskiego i innych, ale każdy z tych autorów idzie tak odmiennemi drogami, że owo dno wspólne, dopiero po głębokiem odczuciu każdego z nich zosobna, odsłonić się może. Że za każdym z tych prawych twórców tłoczy się ciżba snobów i naśladowców, nikt nie zaprzecza. Ale zdawałoby się, że, charakteryzując piśmiennictwo danego okresu, należy brać pod uwagę tylko istotne talenty, nie zaś parodyjące ich zgraje maruderów. Inaczej dzieje literatury zmieniłyby się w historyę głupstwa i grafomanii.

oto dziesięć toczy się walka zajadła z rozmaitemi *-izmami* swojskiemi, prowadzona w ten sam sposób i temi samemi środkami, co przedtem walka z nowatorstwem zagranicznem. Nie zliczyć wszystkich alkoholizmów, zepsuć, bezbożności, niemoralności, perwersyj *), nienawiści do tłumów, tendencyj anti-społecznych, feodalności, okrucieństw, wrogości względem życia, egoizmów, zarozumiałości, sybarytyzmów, bizantynizmów, bezdusznych cyzelerstw, waryackich rozwichrzeń, zdechlackich zblazowań, pesymizmów, mistycyzmów, niezrozumiałości, póz, nieszczerości, nienowości, płytkości, zapędów karyerowiczowskich etc. etc., które spokojnie zapisywano na ich rachunek. Że w tym zdumiewającym konglomeracie różnych rodzajów „zwyrodnienia i upadku,“ jedne przeczyły drugim, cóż to szkodziło? Kropla, często padając, wyżłobi skałę. Czegóż nie mógłby dokonać walący się nieustannie przez lat tyle na miększe mózgi czytelników wodospad codziennych, tygodniowych i miesięcznych anegdot, plotek, zarzutów, oskarżeń, denuncyacyj i fulminacyj, jakiemi różni „obrońcy dóbr moralnych człowieka“, „chowani na świetnych wzorach prometeiści“, monopolizujący wszechwiedzę filozofowie, a za ich przykładem niepoliczeni, wolno praktykujący w literaturze lekarze, księża, adwokaci, reporterzy i t. p., obrzucali — kolejno, lecz niezmiennie — coraz nowych *-istów* i *-entów?* To też nie dziw, iż szerokie warstwy poczęły wierzyć w istnienie jakichś potwornych band, sekt i klanów, dążących do zaguby moralnej społeczeństwa, i patrzyły z uwielbieniem na krytyków-figlarzy, biorąc ich za heroicznych obrońców na ostatnich okopach ideałów i cnót tradycyjnych. Dziwniej uderza, iż nawet świadomi rzeczy i nawskróś rzetelni pisarze dali się porwać temu sztucznie wytworzonemu prądowi — jeśli nie opinii, to języka, i, mówiąc o rzeczywistości, używać jęli terminów, nic z nią niemających wspólnego **). Przyczynił się do tego zapewne fakt, iż do ostatnich chwil owa walka z widmami

---

*) Toć pewien (bardzo podobno poważny i podobno szanujący się) krytyk nie cofnął się przed taką *inqualifiable énormité*, że dekadenci nasi wielbią tak bardzo *Walkirye* Wagnerowskie *jedynie* z powodu zachodzącego w dramacie tym... kazirodztwa!

**) Nawet Chmielowski, którego szczere, gorące pragnienie bezstronności jasnem światłem połyska w tej mrocznej dobie kłamstw umownych, — tu i owdzie posługuje się temi fałszywemi etykietami. Nawet Matuszewski, w swej cennej i świadczącej o szerokich, bezpośrednich badaniach książce: „Słowacki i nowa sztuka“, acz zaznacza wyraźnie, iż „dzisiaj każdy modernista stara się stworzyć *secesyę* na własny rachunek, pragnie wyróżnić się od reszty, zaakcentować swą odrębność i niezawisłość“ (str. 46), czyli — innemi słowy — *że żadnych szkół, sekt, żadnych zbiorowych programów niema*, — na tejże samej wszakże str. używa wyrażenia: „program szkoły modernistycznej“; gdzieindziej (str. 10) widzi nawet wyraźne szkoły tej „odłamy: dekadentyzm, sym-

swojskich dekadentyzmów czy modernizmów sprowadzała się musowo do jednostronnych napaści. Nie bronił się, nie replikował nikt, bo... fikcye są cierpliwe, a rzeczywistych dekadentów czy modernistów nie było. Milczenie to przyjęto jako *tacitum consensum* mniemanych obwinionych. Zapytać, kto mianowicie należy do ich liczby, — jakoś nikomu nie przyszło do głowy.

Ale podczas gdy twórcy - pogromcy różnych *-izmów* odgrywali swe jałowe turnieje z tak czy inaczej poprzebieranemi manekinami szkół, sekt i kierunków, — wielki wiew odrodzenny szedł istotnie przez nasze piśmiennictwo, pogłębiały się duchy, powstawały nowe potężne talenty, transfigurowały się do niepoznania inne, już spokojnie do jakiejś przegródki zakwalifikowane, rodziły się nowe idee, nowe postacie piękna, nowe aspiracye, wizye, tęsknoty, nowe obrazy, nowe ekspresye, język nowy. A działo się to bez hałasu, bez gromadnych wystąpień, bez frazeologij i manifestów, w wieloletnich częstokroć, a tak głębokich wysamotnieniach i skupianiach się w sobie, że nawet jedni z tych przyszłych odnowicieli nic nie wiedzieli o drugich. Aż nadszedł wreszcie błogosławiony zbiorów czas, przeszczodra doba wielkiego dojrzewania, kiedy te najmocniejsze, te predestynowane kłosy i latorośle, niby w zaświatowej jakiejś zadumie, chylą się pod brzemieniem pełnego treści żywotnej plonów bogactwa. Jednocześnie prawie, w ciągu lat kilku zaledwie, pojawił się cały szereg dzieł kapitalnych, światy nowe odsłaniających, epokowych razem i wiecznych, — i nietylko owe mniejszości, z których „zawsze promień inicyatyw świta“, lecz nawet szerokie „ciżby bezkrytyczne“ drgnęły przeczuciem, iż wielkie jakieś dzieje się objawienie, iż staje się Piękno. Stara tradycya urzędowej krytyki, mająca źródło w lenistwie ducha, maskowanem pozorami uwielbienia dla arcydzieł przeszłości, nakazywała zwalczać tych porzucających udeptane szlaki i nowemi drogami ku ostatniej Thule pielgrzymujących wędrowców. Gdy więc, pod parciem rzeczywistości, trzeba było porzucić dziedzinę mar i orzec coś o autentycznych autorach i dziełach, najprostszem i najskuteczniejszem wydało się przystosować hurtem do nich wypróbowane już podczas harców z widmami i zohydzone wystarczająco etykiety. I tryumfalny zabrzmiał okrzyk: „Oto oni! oto ci właśnie, o których mówiliśmy! oto

---

bolizm, prerafaelityzm etc.“; mówi co chwila o „krytyce stojącej poza szkołami i sektami“; zbyt wiele, stosunkowo, wyprowadza wniosków z teoryj (robiąc z nich w ten sposób, jakieś „manifesty“), a zamało z dzieł; wreszcie, w tytule nawet uzupełnia wystarczające aż nadto wyrażenie „nowa sztuka“ dwuznacznym, co najmniej, pod tytułem „modernizm.“

dekadenci, symboliści, moderniści!“ Niestety, radość była krótka — i pożałowano niezwłocznie spokojnych, beztroskich utarczek z fikcyami. Nie o tem nawet mówimy, iż zaprzeczenia jęły padać twarde, stanowcze, bolesne, kompromitujące *). Z niemi możnaby sobie — taką lub inną metodą — jeszcze poradzić. Gorzej, iż broń anegdot, plotek, denuncyacyj, z takiem powodzeniem w tamtych turniejach używana, tutaj okazała się bezskuteczną. Namiętnie czepiono się krakowskiego „Paona“, później cynicznie uogólniano plotki o Przybyszewskim — ale wszystkiego tego nie na długo starczyło. Mniemani dekadenci czy moderniści nie dawali gawędom i baśniom żadnej strawy, nie wałęsali się po rynku literackim, nie pozowali przed publicznością, nie urządzali żadnych orgij kabaretowych, nie wydawali żadnych manifestów, a jeśli czem się odróżniali, to większą prostotą i naturalnością, niż zwyczajni ludzie. Trzeba bylo, zamiast życiem autorów, zająć się ich twórczością, ich dziełami, — a wtedy istna już nastała wieża Babel. Sztuczne, ciasne formułki i szematy — ani rusz — nie mogły zgodzić się z rzeczywistością, sądy krzyżowały się, kłóciły, zaprzeczały sobie wzajemnie. Ten przeciwstawiał wszelakim -*izmom*— Kasprowicza, jako zdrową, krzepką, samorzutną, nawskróś swojską, chłopską naturę; tamten, rozbierając ostatnie utwory tegoż poety, odnajdowal w nich wszystkie typowe cechy zupełnie wyraźnego dekadentyzmu. Jeden zaznaczał z naciskiem

---

*) Interesowani przyjmowali je z początku, nader politycznie, głębokiem milczeniem. Na tę specyalnie kwestye i zarzuty ogluchli chwilowo doszczętnie. Aż znalazł się jeden śmielszej natury i rzewno jął wywodzić żale, iż „najoddańsi przyjacielo i najczystsze odrośle (modernizmu) wypierają się go i wstydzą“, co — według wielkodusznego sędziego—ma być pono malodusznością. Chybione *salto mortale!* Przedewszystkiem, *któregoż* to modernizmu? bo, jeśli sądzić z wyliczonych (podług książki Matuszewskiego) jego „tematów“ (??), musiało być kilka rodzajów tego kierunku czy szkoly. W jednym owe „tematy“ stanowczoby się pokłóciły. Powtóre, gdyby nawet istnieli jacyś przyjaciele jakiegoś modernizmu, mieliby zupełnie „wielkoduszne“ prawo i nawet obowiązek wyprzeć się go z chwilą poznania, że byl glupstwem. Wreszcie, czyż może się ktokolwiek wypierać i wstydzić tego, do czego nigdy się nie przyznawał, co zawsze — jak wykazano wyżej — za śmieszność i anegdotyczną uważal mizeryę? Tak, podział na szkoly, kierunki, epoki *jest* zawsze sztuczny, i niema co wmawiać go tym, którzy go zawsze odrzucali. I daremne też będą w piśmiennictwie naszem próby importowania „burz i naporów“, rewolucyjnych rozmachów, „die rucksichtslos die alten Formen sprengen“. U nas czulo się zawsze, iż rzeczą ważniejszą od rozbijania form starych jest tworzenie nowych, iż w zgiełkach i wirach gromadnych „naporów“ powstawać mogą tylko trybuńskie frazesy, malownicze anegdoty i młodzieńczo niedonoszone dzieła, a wielka, prawa twórczość że poczyna się z chwilą, gdy poeta zapomina o rewolucyach, przełomach, epokach, przeszłościach i przyszłościach, skupia się w ciszy i odosobnieniu, zostaje sam na sam ze światem, który mu się w duszy rodzi, i Jakubową rozpoczyna walkę, by „nieskończoność zawrzeć w kształtów cieśni“. To jest żar święty, jedyny; tamto — słomiany jeno ogień, praktyczne — co najwyżej — mogący mieć znaczenie.

iż „podążający piastowskiemi (?) szlaki“ Wyspiański odsuwa się od wszelkich grasujących u nas, a importowanych z zagranicy sekciarstw i szkółek; drugi z największą łatwością wykazywał w nim symbolistę najczystszej wody. Berent był dla różnych krytyków — naprzemian — to okazem typowym sekciarstwa modernistycznego, to znowu nieubłaganym satyrykiem, odsłaniającym bezlitośnie całą „nędzę moralną“ dekadencyi współczesnej. Nawet Żeromski i Sieroszewski — ostatnie reduty, wysuwane najwytrwalej i najzgodniej przeciwko mniemanej nawale „nowych prądów“ — nie uniknęli (zwłaszcza po *Popiołach* i *Jang-hun-tsy)* podejrzeń z tej i owej strony o wyraźne zabarwienie „modernistyczne“. Te bajeczne, kompromitujące sprzeczności w sądach i ocenach, wywołując zamęt nieopisany, zdolny zdemaskować całą ukrytą fabrykę -*izmów*, ostrzegły wkrótce wynalazców owych fikcyj, że tutaj, jak nigdzie, *nomina sunt odiosa,* i że lepiej wycofać się nieznacznie ku poprzednim „bezimiennościom“. Po książce wszakże Matuszewskiego, stwierdzającej wyraźnie — mimo wspomnianych wyżej *lapsus*'ów terminologii — *zwrot* ogólny w całej literaturze i sztuce, ale zarazem *nieistnienie* szkół, sekt, kapliczek etc., — trudno było ciągnąć dalej dawną kampanię przeciwko tym ostatnim, a zwrócić ją naraz otwarcie przeciwko *całej* nowej literaturze (z wyjątkiem kilku niepokalanych, nieszkodliwych, ale też opłakanych mierności) wydawało się nieco ryzykownem. Poczęto tedy operować etykietami ostrożnie, chwiejnie, dwuznacznie, tak, aby czytelnik — wedle chęci i skłonności — mógł poza niemi widzieć bądź jednostronne klany i sekty, bądź całe dzisiejsze generacye twórcze, i aby w ten sposób krytyk miał zawsze otwartą do wymknięcia się furtkę. Niestety, przy lawirowaniu takiem najłatwiej właśnie o jakiś „wypadek nieszczęśliwy“. Oto przykład najświeższy, wystarczająco charakterystyczny. Ze starego, zmurszałego okopu pada hypochondryczne, żółciowe szyderstwo pod adresem „naszych dekadentów“ (= modernistów, symbolistów, etc.), którzy „nowy neoromatyzm ogłaszają jako fenomenalny rozkwit twórczości poetyckiej, jakoby w tej chwili okazalszej, niż w jakimbądź innym kraju i narodzie w Europie“, podczas gdy, według krytyka, w porównaniu z europejczykami „stalibyśmy gdzieś na szarym końcu, pomiędzy ostatnimi z ostatnich“. A z innej znowu czatowni, na Akropolu megalomanii, — wprost odwrotny pocisk: „Modernizm czeka na swego geniusza, — *tak mniej więcej określa swe nadzieje ogromna rzesza dzisiejszych artystów i ich satelitów*“. A nieco dalej: „Modernizm nie ma prawa dowodzić (więc widocznie dowodzi?), że mu genialny wyobraziciel niepotrzebny, i że nie ma w so-

bie ambicyi wydania arcydzieła kierunku". — O kimże mówi ten, a o kim tamten krytyk? Istnieją-ż jacyś „dekadenci", pełni podziwu i uwielbienia dla dzisiejszego rozkwitu literatury naszej, i tuż obok nich inni znów jacyś „moderniści", to wyczekujący swego geniusza, to znowu zrzekający się go, jako rzeczy zbytecznej? Któż są jedni, kto drudzy? Czemuż nie słyszymy o jakichś sporach i walkach między nimi, skoro ich zdania tak biegunowo się różnią? Rzecz prosta: dla tego, że ani jedni ani drudzy nie istnieją; że są to tylko zapożyczone z Zachodu „sposoby wyrażania się" pp. krytyków, do których sami oni zresztą nie przywiązują wagi; że nie o żadne szkoły czy sekty tu chodzi, lecz o coś zupełnie innego: o stare, odwieczne, za każdym razem z tą samą powtarzające się intensywnością, zwalczanie wszystkiego, co nowe, wielkie, arcydzielne, co daje *„un sens plus pur aux mots de la tribu"*, co zmusza duchy leniwe do podniesienia się z wyleżanych barłogów, co w megalomańskich miernościach zawiść budzi i gorycz rozjadłą. Bo na jednym tylko punkcie wszyscy ci panowie się godzą: że dzisiaj jesteśmy ostatnimi z ostatnich, że dzisiejsza literatura to niewyklarowane fermenty lub bigosy amatorskie, że modernizm choruje na niemoc, że umie tylko przywłaszczać sobie dawniejsze lub cudze temata i poglądy, że własnego geniuszu i arcydzieła napewno nie stworzy, o ile sam się nie przetworzy i nie wyszlachetnieje. Wszystko to — pomnijmy — „gada się" w chwili, gdy królewskim, zaiste, orszakiem pojawiają się *Popioły, Na wzgórzu śmierci, Salve regina, Próchno, Klątwa, Achilleis, Chłopi*, liryki Micińskiego i Staffa, cały szereg arcytworów, niosących owo wielkie, wieczne a wiecznie nowe życie ducha, owo życie, „co wzbija się ponad życie". I nietylko gada się, lecz uzasadnia koziołkującemi niezgrabnie sofizmatami o „dwojakim podziwie" dla dzieła sztuki. Nie, uwielbienie, to pierwsze źródło wielkiej krytyki, jest tylko jedno. „Nie widziałoby słońca oko, gdyby nie stało się słońcu podobnem", powiada stary Plotyn; „nie dojrzy Piękna dusza, jeśli piękną się nie stała". A dusza piękną się staje, gdy otrząśnie się z leniwego bezwładu i pozbędzie największej śmieszności człowieczej: miłości własnej. Wtedy nie będzie się ona gramoliła na wierzch oglądanego dzieła, nie będzie mu narzucała żadnego „wymarzonego" mętnie, na podstawie przeszłości sztuki, „wzoru (!!) twórczości", nie będzie czuła obawy, aby się nie poniżyć (!) przez uwielbienie, aby się nie stać giermkiem twórcy jeno, — lecz zjednoczy się z dziełem, podobnie jak twórca jego z bytem, odda mu się bezgranicznie i przez to ogarnie, wchłonie je aż do owych pogranicz, kędy drzemią „wsiane nieświadomie ziarna potęgi", rozświeci wszystkie labi-

rynty tego królestwa piękności, odsloni wszystkie jego tajnie, spełni wielkie zadanie wyświadomienia, zwiastowania światłości, zapłodnienia dusz innych. Praca to już czysto twórcza — i Hello ma słuszność, że w tem znaczeniu „krytyka jest jedną ze Sztuk najwyższych". Tylko tą drogą wypowiada się w teraźniejszości słowa dni przyszłych. Wszelkie inne metody poszukiwania „arcydzieł przyszłości" świadczą tylko, że ród Tersytesów nigdy snadź nie wygaśnie.

Tredecim.

POWIEŚĆ.

M. Komornicka. *Biesy.* Warszawa. Nakł. „Chimery." — Wl. St. Reymont. *Komurasaki.* Warszawa. Nakł. „Chimery." — W. Berent. *Fachowiec.* Warszawa. Gebethner i Wolff.—J. Zeyer. *Król Kofetua.* Warszawa. Nakł. „Chimery." — Bret-Harte. *Ostatnie nowele.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — G. Sand. *Ostatnia z Aldinich.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — H. Zbierzchowski. *Przed wchodem słońca.* Lwów. Księg. Polska. — C. Walewska. *Historya dzieci.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — St Gacki. *Rozdźwięki.* Warszawa. J. Fiszer.

Biesy — przez Maryę Komornicką. — Dzieje wyszarpywania się jednostki z ogólnych szablonów otamowawczych, z których się składają stany rodzinno-społeczno-towarzyskich bytowań. Szczytna swoją aż raniącą szczerością, nieoglądająca się za rozgrzeszeniem i nieobiecująca skruchy ani pokuty spowiedź. Syntetyczny opis golgoty, którą przebywa dusza królewsko-sieroca, gnana pragnieniem zwycięztwa nad swojem *Nie-Ja* i dążąca do przedostania się w swój kraj rodzinny — w dziedzinę królowania najpłomienistszych uzewnętrznień. W *Biesach,* niby melodya oceanicznych falowań, dźwięczy motyw tęsknoty ku dalom niezmiernym, ku głębinowym źródłom marzenia, sztuki, tajemniczych objawień i przeczuć, — ku temu, słowem, co stanowi PIĘKNO, ów najczystszy pierwiastek życia, płynący jak zdrój, pod pokładami widomości codziennej z jej nieruchomemi ustaleniznami i martwotą. Styl *Biesów,* zawrotny, skrótowy, ma wdzięk kobiecej niecierpliwości, pośpiechu i żaru, niekiedy rozgorywa w namiętną aż pulsacyę, niekiedy zdumiewa zimnem jaśnieniem myśli, które są obrazami, i migotaniem obrazów, w tysiączne rozpylających się drgnienia myślowe. Styl ten wytwarza rytmikę wartką, bystrą, czasem prawie że opryskliwą, toczącą się „z szumem wodospadów, w których twór żaden nie ugasi pragnienia, bo są zbyt rwące i szalone prądem ofiarności." Styl ten w niektórych razach ma pozór ostrych cięć, godzących

z jakąś bolesną zaciętością we wszystko, co nie jest *Ja,* co nie jest tą poszukiwaną z utęsknieniem istotą duchową, w którą trzeba jaknajśpieszniej tchnąć królewskie życie, zabarwione przepychem bujności, żądne najszerszego, najnieobjętszego objęcia świata. — Wydanie *Biesów* niesłychanie wytworne: każdy fragment, których jest siedmnaście, ozdobiony inicyałem odpowiadającym treści pod względem liniowego układu i bogactwa.

Komurasaki — przez Wł. St. Reymonta. Winiety Hokusai'a, rysunek okładkowy St. Dębickiego. — Autor burzliwości, kipień, wrzeń, fermentowań życiowych, sprawca zsychlanych sytuacyj; prowodyr zawieruch tanecznych, rozwichrzeń hulaszczych i rozszalałych kochań; badacz sromot i zezwierzęceń przemyslowych; piewca szarug, tumanów skroś przejmujących, ziąbów śmiertelnych, i nadających krwi wrzątku gorącość rozkwitów wiosnowych; retman pędów, rozpędów i popędów natury obfitej, rosłej, bujno-płodnej; bard chłopskiego żywota z jego rozkrzewistością przyziemną, z jego mozołem cierpliwym i pijanem weselem: — w przeciwstawieniu do tych swych rodzajów twórczości realistycznej, stworzył bajkę o *Komurasaki,* małej laleczce japonskiej. W łańcuchu zjawisk bytowych jedne są głośne, rozpanoszone, gwałcicielsko narzucające się patrzeniu, wszerz i wzdłuż rozpościerające swoją brutalność, mocne molekularnie czy też muskularnie, i one to stanowią koloryt plątaniny tej, tego zsypiska bryłowatości, zwanego przez obserwacyę realistyczną „życiem.“ I są inne zjawiska, stojące gdzieś na uboczu, niby dekoracya przez rozgranych aktorów zapomniana, odsunięte w ustronność, trwożne i martwiejące, jeśli je schwycić zbyt obcesowo. Autor, snadź pod przemożnym wpływem masywności, wrzawy i zmysłowego wszechwładztwa zjaw kategoryi pierwszej, nie miał może dość uciszeń, dość chęci oderwania się od natłoku wrażeń, wartkiemi odruchami spychanych w dokonanie, aby mógł zwrócić wyłączniej spostrzegawczość swego talentu na rzeczy owe nie tak rozrosłe życiowo, nie tak dotykalne bezpośredniością, nie tak ważkie bezwladem i nie tak ochotę realnego nasytu podżegające, ale chyba godne, aby je w obręb niemniej troskliwego wziąć rozważania. Są one nikłe, słabiutkie, nietrwałe jak skrzydła efemeryd motylich, rozpierzchliwe jak pył kwiatowy, w odludnej jeno cichości slyszeć się dające, jak drzew szelest modlitewny, nieme, jak płacz kropel deszczowych po szybie spływających, niepoważne jak zabawka, białe jak sad wiśniowy rozkwitły, żałosne jak trwogi i lęki dziecinne... Rzeczy te odczuwane i pojmowane być mogą tylko przy jakichś głębszych, jakby uroczystszych stanach duszy, a przeto, chociażby jako

motyw dla talentu, warte snadź więcej niż dominujące, zwierzchnicze *forte* życiowego gwaru, więcej niż wielmożna „zwierzchniość“ tego, co się na codzień zwie rzeczywistem. W *Komurasaki*, autor, niby władzca, po zdobyciu świata realności, odetchnął, pozwolił sobie na siódmy dzień stworzenny, który wypełnił adoracyą piękna tych właśnie mgnieniowych, wobec hałaśliwości „życia“ nieobronnych, poetycznych przebłysków, mających równoważniki wnętrzne w najwrażliwszych, najczulszych głębinach duszy twórczej. Dlatego to w bajce dźwięczy najczystszy liryzm, oraz dziwnie miękka, opiekuńcza tkliwość w ujęciu doli jestestwa, jak uśmiech dziecinny wdzięcznego, ale i znikliwego; i dlatego w symbolice utworu autor wyrazić musiał rozkruszenie się, pryśnięcie w niwecz marzycielskiej Komurasaki, nostalgicznie spragnionej słońca, kwiecia, woni, lotności, a ginącej śród barbarzyńsko, „życiowo“ obojętnego na jej tęsknotę otoczenia.

Fachowiec — przez Wacława Berenta. — Nieskazitelna sumienność w wyborze środków uzewnętrznienia i podporządkowaniu ich intuicyi artystycznej chronią prawego twórcę od zboczeń sztuce wrogich, chociażby artyzm swój, pod wpływem przelotnych jakichś względów, nieartystycznym w służbę oddał celom. Jakoż, pomimo że autor Fachowca świadomie podjął tezę społeczną, utylitarną, jednakże rozwiązania jej pożytkowego zwolna zaniedbuje i pozwala punktowi ciężkości onegoż w pozaspołeczną, bezinteresowną przesunąć się prawdę. Ruchem tego przesunięcia kieruje tu jakiś przemożny, uporczywy nakaz wewnętrzny — nakaz widzenia rzeczy w ich samoistnie trwających żywych postaciach, bez podpórek i podtrzymywań w sposób, w jaki się winny trzymać zgodnie z wymaganiem tezy. Tę wrodzoną talentowi grawitacyę ku prawdzie artystycznej, ku tworzeniu życia, znać przedewszystkiem w pełnym, wolnym oddechu tam właśnie, gdzie chodzi o istotność samą piękna, o ujawnienie go w ruchu, w linii, w geście bezcelowym a kosmicznie rozległym (świt, przestrzeń widnokrężna, działanie ludzi - mechanizmów i machin prozopopea). Ale nawet i w tych momentach, gdzie tezę, bądź co bądź związującą wypadki i rzeczy w *Fachowcu*, należy oświetlać i jakoś o niej stanowić, autor nie rozumuje, nie argumentami przekonywa, lecz takiem ujęciem rzeczy, które ukazuje ich wnętrze, ich wartość bezwzględną. Ujęciem tem jest u Berenta humor niezwykły, bez hamujących podkreśleń, bez umiejscowień, lotny, nieuchwytnie nad całą powieścią polatujący, niby zapach wód głębokich lub wyżyn. Przeprowadzony ściśle auto - objektywizm osoby opowiadającej i powściągliwość autora w szczegółach dają rysunek

bardzo przejrzysty, w którym niezmiernie drobny jakiś punkt nabiera cech koniecznych, przełomowych. Ta refrakcya artystyczna wykazująca złudę najsolidniejszych oczywistości, te hamowane, niepewne — rzekłbyś — swego powabu uśmiechy tworzą dziwną dwoistość: kwiecia rozsianego w warzywie wypadków. Onemu kwieciu, czyli artyzmowi niekrępowanemu żadnemi tezami, dopiero w „Próchnie“ Berent pozwolił rozbujać się i własną, niezależną od wszelkich warzywnych doktryn świecić dał barwistość.

Król Kofetua — przez Juliusza Zeyera. Przełożył Miriam. Przyozdobił Edward Okuń. — „Biada sercu, które tęskni i któremu nie dano tęskności swej ukoić“... „Albowiem tęsknota podobna promieniowi, który wyszedł z gwiazdy i pada wiecznie w przestrzeń nieskończoną, nie spotykając oka, któremuby światłem był“... Cel pragnień powierzchownych daje się osiągnąć, ale im pragnienie rozleglejsze, bardziej duchowe, czystsze, tem wypełnić je trudniej. Przeto „idą tęsknoty glębiami dusz naszych.“ Ciało można złamać, zniewolić, ale duch tylko przed duchem składa berło. Najwyższością woli nie jest jej spełnienie: woli moc to jest moc wyrzeczenia się; największe wyrzeczenie jest najgłębszą tęsknotą, która obejmuje świat cały. A świat dopiero jest wypełnieniem woli jednej, Najwyższej, wszystkie pożądania człowiecze w sobie stapiającej. Poemat Zeyera to przedziwne usymbolizowanie tych wiecznych nieukojności dusz, tych wiecznych pragnień ludzkich: zespolenia się z bytem w jedną bezpragnieniową, świadomą, rozkoszną niepamiętność. Żyjąc, zawsze tylko dotykamy *kształtu* rzeczy; widzimy barw i linij *zjawę* tylko, chociaż najponętniej oko pieszczącą i rytmem chwilowym zadowolić nas zdolną; słyszymy dźwiękowej następczości *odmierzenie* ścisłe; możemy się upajać miąższem rzeczy, posiadać materyalnie, czuć, niszczyć, przetwarzać to, co się nam rzeczywistością być zdaje: — ale duszy, owego tajemniczego znaczenia, treści tych wszystkich otoczek zmysłom się narzucających, nie wiemy, przeniknąć nie możemy. Zostaje to wiekuiste dążenie, przyrywane rzadko tylko przez mgnienia jakieś ekstatyczne, w których się nam całość bytu objawia jak błyskawica, jeszcze bardziej mrok roztęsknienia zwiększająca... Znów pragniemy, szukamy, ujmujemy pozór i mrzemy, jak ów Król, z tęsknoty, u białych stóp widma, które ku nam, jako piękno, z nieodgadnionej przypłynęło dali... Zeyer nazwał swoją opowieść „snem z Rawenny,“ i naprawdę, że to jeden z tych snów, które są tem „czemś najlepszem, co mamy na ziemi.“ Dla niewysłownej linii i dla uduchowionej, cichej a przenikającej świetności barw — w epickiem upostaciowaniu tego snu o tęsknocie —

porównanie znaleźćby można chyba w najcudniej, najprzeczuciowiej wizyonerskich zwiastowaniach Rossetti'ego i Burne-Jones'a, — a eolskie, nadziemsko-gędziebne prozy tej falowanie do nielicznych *cudotwórczo* rytmicznych wydźwięków poetyckich policzyć trzeba.

Wydano książkę („edycya komemoratywna w roku drugim od śmierci poety") z wielkim pietyzmem i rzadką wytwornością ozdobniczą.

Ostatnie nowele — przez Bret-Harta. — Dziecko rwące się do życia, energiczne jak dorosły, ku włóczęgostwu skłonne i z karbów tresury chętnie wypryskujące w przestrzeń dziką, poetyczną; mała dziewczynka poskramiająca olbrzymów bezwiedną wiarą w opiekuńczy pierwiastek dobra; gracz zawodowy, wykolejeniec, który dla spełnienia dobrego uczynku, jeśli mu coś do głowy strzeli, życiem swem szafuje równie łatwo jak dolarami wygranemi; fanatyk ewangeliczny, małżeństwem umoralniający aktorkę; kobieta zakochana w bandycie ściganym przez lynch'ystów... Bret-Hart ku podobnym tematom najchętniej się zwraca i najżyczliwiej się z żywiołami nieuspołecznionemi obchodzi, wynagradzając je tem za ciekawsze objawienie mu natury ludzkiej. Ale naturę tę głównie ze strony zewnętrznej, opisowej traktuje, śledząc jej zachowanie się w wypadkach niezwykłych. Malowniczy romantyzm na tle czysto realnem. Dużo humoru i nieco maniery Dickens'owskiej.

Ostatnia z Aldinich — przez G. Sanda. — Jedno ze słabszych dzieł pani Dudevant, dla nas — rzecz prosta — „wyborowe." Romantyczna (typ Musset'owski) kobiecość; pogardliwa duma żarząca się miłością, sarkazm tryskający płaczem, niewinność przybierająca pozory wyuzdania, dziewiczość, która mówi długiemi na pół strony okresami, albo raptem omdlewa czy też dostaje konwulsyj. Typ inny, właśniejszy: wdowa, po śmierci męża zdążająca do zbawienia duszy, w którym to celu grzeszność tyranii nieboszczyka odkupuje cnotami kochanków, aż wreszcie, ucnotliwiona, dojrzewa do zaślubin z młodym chłopcem, co zresztą nie dochodzi do skutku z winy pani, za często płaczem niezabawnej... Śpiew, jeżdżenie gondolami dzienne i nocne, schadzki, arystokratycznej krwi zaćmiona błękitność, pojedynki, szlachetny plebej, powiew lagun bardzo nieznaczny, anemia tła i dekoracyjna płaskość. *A propos.* Gdy inne piśmiennictwa, za ujmę poczytując wszelkie przysparzanie sobie obrzynków, wszelkie tandetne wyporki i wybiórki, dbają o wydania jak najkompletniejsze, — my zawsze mamy tylko „wybór" dzieł „wyborowych," w dodatku jak najhigieniczniej „obranych" i oczyszczonych. Tłómacz, p. K. Kaszewski, w naiwnem poczuciu zasługi, powiada w przed-

mowie, że miejsca, w których autorka napada na obłudę teokratyczną, — *zmodyfikował!* Zaiste, byłoby może lepiej „zmodyfikować" własny styl i oczyścić go z takich wyrażeń, jak „muzyka nie szła w ład" i t. p.

Przed wschodem słońca — przez Henryka Zbierzchowskiego. — Anegdociarskie, z facecyami i witzami, poczciwe gawędzenie o szlachetnym przyrodniku śpiewającym *rydy - durki, rycza - łysy* bez wielkiej potrzeby, o dziennikarzu grającym Chopina *nastrojowo* i satanistycznie szczęśliwym do kobiet, o koncypiencie Tabaczkiewiczu, o arystokracie bezdomnym, który w sposób bezwzględny wchodzi w stare spodnie będące własnością pewnego malarza, o tym malarzu, że lubi czarną kawę, o aktorce mającej pobudzać mężczyzn do katalepsyi, o chłopcu, który za wozem biegnie na pasku czas jakiś, o łące dusz, o dzieciach niesfornych, i o samobójczych a raczej zabójczych dla czytelnika „nastrojach," w których kwiaty pachną „*intenzywnie.*" Szczególna, rozlazła niemrawość tonu, sklecanie do kupy rzeczy niewspółrzędnych, nawzajem sobie niepotrzebnych, obrazkowość, nieopanowanie własnych roztkliwień i rzewnostek, i nuda — nuda — nuda.

Historya dzieci — przez Cecylię Walewską. — Właściwym tytułem byłby taki: „Historya maryonetek, Narcyza i Chmurki, i mamusi, i anglika z pledem i z parasolem." Wszyscy, zwyczajem przez maryonetki przyjętym, mają pewną ilość ruchomych członeczków, za nitki wedle wymagań przyzwoitości i konwenansu skromnie pociąganych. Maryonetka Narcyz pisuje do maryonetki Chmurki liściki na wskazaniach „Przyjaciela Dzieci" wzorowane, potem ma krucze jak dwa skrzydełka kędziorki, zostaje doktorkiem, kocha ludzi i Chmurkę. Ale Chmurce maryonetka mamusi każe wyjść za starą maryonetę anglika z pledem i z parasolem, wskutek czego Chmurka z przykrością rodzi (za sceną) małe chmurczątka anglizowane, Mici i Kizi, i nie przestając być maryonetką, wznosi się do wyżyn metafizycznych, myśli „o życiu zagrobowem." A Narcyz, choć miał w życiu swem maryonetkowem drobne, ogólnie przyjęte milostki, jednak zawsze kochał Chmurkę miłością czystą, i zmartwiony, że nie będzie miał z nią, Chmurką, (co byłoby niegrzecznie) małego Narcyziątka, podróżuje, myśląc też „o życiu zagrobowem" i „o dziwactwach metampsychozy." Historya ta jest „wyborowa."

Rozdźwięki — przez Stefana Gackiego. — Błąkająca się po kawiarniach monachijskich tudzież po kurortach szwajcarskich anemia duchowa, oraz lubieżność, z gotowego, jej celom służącego grosza żywiona, — jeżeli się zbiegną z „secesyjnem" oczytaniem, z admira-

cyą przyjaciółek i ze zdolnością łatwego, wodnistego pisania, — fatalnie i nieuchronnie prowadzą do grubego tomu „rozdźwięków." Brak tu jakichkolwiek usiłowań wyodrębnienia się z szarzyzny przeżutych, przetrawionych i na brud już ogólno - ludnościowy ztyngeltanglowanych psychologizmów, filozofistyczności i artystykalij. Bibulczane kwiaty, wysztywnione drutem pretensyj do Homo-Sapientyzmu. Ckliwość i mazgajstwo — pensyonarskie, Peter-Nansenizujące. Bohater pije szampana, pali, płaci, i dużo mówi o swoich wszechkawiarnianych bólach i o swoich różnolitych związkach z wszechdziewczętami, które są: Hela, Krystyna, Roza, Fanny, Lucya, Franceska i Kätty (dalszy ciąg w Bottin'ie).

J. L.

KSIĄŻKI NADESŁANE.

POEZYA. — S. Goszczyński. *Pisma.* Wydanie kompletne, uzupełnione pismami pośmiertnemi. Tom I i II. Lwów. Tow. Wydawnicze. — J. Karasek ze Lvovic. *Hovory se smrti.* Basnie. Praha. Nakl. vlastnim. — M. Konopnicka. *Drobiazgi z podróżnej teki.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — L. Rydel - St. Dębicki. *Bajka o Kasi i Królewiczu.* Lwów. Tow. Wydawnicze. — H. Salz. *Krzyk niewolnika.* Kraków. D. E. Friedlein. — L. Staff. *Najmłodsza pieśń polska.* Lwów. Księg. Polska. — K. Zawistowska. *Poezye.* Lwów. H. Altenberg.

POWIEŚĆ. — P. Altenberg. *Jak ja to widzę.* Warszawa. J. Fiszer. — A. Gide. *Prometeusz źle spętany.* Lwów. H. Altenberg. — J. K. Jerome. *Dziennik wycieczki do Oberammergau.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — Z. Kaczkowski. *Olbrachtowi rycerze.* Część I — VI. Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — J. Karasek ze Lvovic. *Lasky absurdne.* Praha. Nakl. vlastnim. — M. Konopnicka. *Moi znajomi.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — Wł. St. Reymont. *Chłopi.* (I. Jesień. II. Zima). Warszawa. Gebethner i Wolff. — K. Świetla. *Ostatnia pani Głogowska.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — St. Żeromski. *Popioły.* Tomów trzy. Warszawa. Gebethner i Wolff. — St. Żeromski. *Aryman mści się. Godzina.* Warszawa. Gebethner i Wolff.

STUDYA LITERACKIE I ESTETYCZNE. — J. Karasek ze Lvovic. *Spisy.* Sv. I: *Renaissanczni touhy v umieni.* Sv. II: *Impressioniste a ironikove.* Praha. Symposion. — I. Matuszewski. *Słowacki i nowa sztuka (Modernizm).* Wydanie II. Warszawa. Gebethner i Wolff. — K. Mokłowski. *Sztuka ludowa w Polsce.* Lwów. H. Altenberg. — J. Mortkowiczowa. *Wychowanie estetyczne.* Warszawa. G. Centnerszwer. — R. Muther. *Historya malarstwa.* I. *Trecento i Quattrocento.* Warszawa. Jan Fiszer. — E. Schure. *Dramat muzyczny. Ryszard Wagner. Jego twórczość i ideały.* Warszawa. G. Sennewald. — J. A. Święcicki. *Historya literatury powszechnej.* Tom VII, cz. II. *Literatura żydowska.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — St. Witkiewicz. *Aleksander Gierymski.* Lwów. Tow. Wydawnicze.

HISTORYA. — J. Baczyński. *Dzieje Polski.* Tom I-szy. Poznan. K. Kozlowski.

NAUKI SPOŁECZNE. — Dr. Z. Gargas. *Poglądy ekonomiczne w Polsce XVII wieku.* Wyd. II. Lwów. Tow. Wydawnicze.

NAUKI PRZYRODNICZE. — M. Rudzki. A. Witkowski, W. Natanson, L. Marchlewski, T. Garbowski, M. Straszewski. *Z filozofii nauk przyrodniczych.* Sześć wy-

kładow. Warszawa. Wende i S-ka. — J. Słowikowski. *Znaczenie gur Kopernika i Keplera w przyrodzie, nauce i technice.* Warszawa. Skl. gł. w Księgarni E. Wende i S-ka. — E. Toulouse i L. Marchand. *Mózg i jego czynności.* Lwów. H. Altenberg.

VARIA. — H. d'Alméras. *Małżeństwo u różnych narodów.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — T. Jeske-Choiński. *Syonizm w oświetleniu antysemity.* Warszawa. Skl. gł. u Gebethnera i Wolffa. — R. Erzepki. *Na gwiazdkę.* Poznań. Własnym nakładem. — R. Kipling. *Takie sobie bajeczki.* Wybór. Warszawa. M. Arct. — L. Michaud d'Humiac. *Wielkie legendy ludzkości.* Warszawa. Gebethner i Wolff. — H. Leuss. *Z więzienia pruskiego.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb. — T. Roosevelt. *Życie wytężone.* Warszawa. Bibl. Dz. Wyb.

VARIA

CYPRYANA NORWIDA DZIEŁA ZEBRANE. — O edycyi *kompletnej* utworów tego wielkiego poety mówić dziś jeszcze niepodobna. Wszystkiego, co Norwid napisał (i również — co rysował, malował, sztychował, rzeźbił), a przeto całości — uzewnętrznionego w dziełach twórczych — jego oblicza duchowego — nikt dotąd nie zna. My sami — acz, zabiegając usilnie, zgromadziliśmy znaczniejszą snadź, niż ktokolwiek, ilość bądź rękopisów jego, bądź pierwszych wydań książkowych, bądź rozproszonych po czasopismach utworów — wiemy jednak o kilku większych i niewątpliwie ważkich nader jego pracach, *nietylko rękopiśmiennych, lecz nawet i drukowanych,* których dotąd nie udało nam się odnaleźć. A o iluż — może istniejących — nie wiemy snadź zupełnie! Toć nawet istnienia *Wandy* nikt nie podejrzewał — i arcydzieło to, którego rękopis był własnością bezdzietnej, samotnej i w podeszłych już latach kobiety, mogło łatwo zaginąć z czasem bez śladu — gdyby zamieszczenie w *Chimerze* kilku innych utworów Norwida nie zwróciło było uwagi posiadaczki i nie skłoniło jej do powierzenia nam tej drogocennej puścizny.

Jeżeli atoli o wydaniu zupełnem niema co dzisiaj marzyć, konieczną za to i pilną jest rzeczą — ze względu zwłaszcza na możebność faktów podobnych do wyżej przytoczonego — przystąpić niezwłocznie do jakiejś *édition perpétuelle* „zebranych pism" poety, która obejmie naprzód to, co do dzisiaj zgromadzić się dało, a później, w miarę napływania nowych materyałów, stopniowo uzupełniać się może. Edycya to będzie niegorsza od dotychczasowych wydań Słowackiego czy Krasińskiego (bo przecież i tych nawet „dzieła kompletne" są do dzisiaj... nadzieją tylko), a zwróci niewątpliwie uwagę posiadaczy jakichś rękopisów czy druków Norwidowskich i uratuje snadź

wiele z tych ostatnich od możebnego — przy dziedzicznem lub innem przechodzeniu z rąk do rąk — zatracenia się bezpowrotnego.

Do tej pobudki najważniejszej przybywa jeszcze wzgląd inny. Niedawne to czasy, gdy, wymieniwszy Norwida, z obojętnem jeno spojrzeniem lub zdumionem pytaniem spotkać się było można. Dziś, po ogłoszeniu garstki zaledwie drobnej nieznanych utworów, nazwisko jego brzmi już, dla znawców i miłośników prawdziwych, równie pełno, dźwięcznie, śpiżowo, jak nazwiska trzech wielkich romantyków naszych. Ale obok nielicznych „miłujących,“ podchwyciła to święte imię wyniosłego samotnika, jako *article de luxe,* jako *haute nouveauté,* jako sztandar czy hasło bojowe, cała zgraja snobów i naginaczy, z tą zupełnie inną, z tą *drugą* „czułością,“ o której z miażdżącą, lapidarną ironią mówi sam poeta:

Czułość bywa jak pełny wojen krzyk,
I jak szemrzących źródeł prąd,
I jako wtór pogrzebny...

I JAK PLECIONKA DŁUGA Z WŁOSÓW BLOND,
NA KTÓREJ WDOWIEC NOSIĆ ZWYKŁ
ZEGAREK SREBRNY.

Każdy nosi się dziś z jakimś fragmentem, z jakąś jedną książeczką czy utworem, ten z „Prometidionem,“ tamten z „Nad Kapuletich...“ — i każdy, nibyto szukając w tym oderwanym szczątku całego Norwida, właściwie „własnych szuka mniemań“ tylko i „własne myśli“ znajduje. Jakie ztąd wyopacznienia najbardziej zasadniczej treści, jakie wypotworzenia tego niewymownie szlachetnego i wzniosłego oblicza duchowego, jakie podsuwania własnych bezładów i rozwichrzeń pod tarczę wielkiego i bezdennie głębokiego „nadczłowieczeństwa“ Norwidowego — trudno wyliczyć i opisać. U progu odrodzin, po tak długiem jak gdyby nieistnieniu, te kolosalne rzeczy, „pisywane na Babilon do Jezuzalem,“ znowu przedewszystkiem spotykają się z nierozumieniem, przekręceniem i karykaturą. A z drugiej strony — u trzeźwych, spokojnych konserwatystów, nie dających się unosić „nowostkom“ — stare, jowialne anegdoty o „elegancie“ pośród cyganeryi warszawskiej, o „symboliście z przed 50-ciu latY“ (!), stare, śmieszne zarzuty ciemności, niezrozumiałości i pychy nadmiernej, stary ton protekcyonalnej łaskawości, stare wreszcie, kategoryczne dowody, iż się pisarza *quaestionis* nigdy nie znało i dziś nie zna. — Co żywo tym wszystkim, takim czy innym „spotworzeniom“ przeciwstawić się godzi, co się tylko dało zebrać z puścizny poety. Wtedy on sam już z łatwością się obroni.

Temi powodowani myślami, postanowiliśmy przystąpić do wydawnictwa *Dzieł zebranych* Cypryana Norwida. Trzy tomy ich już się drukują i z jesienią r. b. kolejno ukazywać się zaczną. Tom I-szy zawierać będzie *Pism prozą seryę pierwszą: Legendy i Nowele* (Garstka piasku, Bransoletka, Cywilizacya, Ostatnia z bajek, Stygmat, Tajemnica lorda Singelworth, Ad leones). Tom II-gi obejmie *Pism prozą seryę drugą: O sztuce i literaturze* (Czarne kwiaty, Białe kwiaty, O sztuce, O Juliuszu Słowackim, „Boga-Rodzica," Milczenie). W tomie III-im zamknęliśmy *Pism wierszem seryę pierwszą: Poemata większe* (Pieśni społecznej cztery stron, Pięć zarysów obyczajowych, O historyi dyalog, Zwolon, Promethidion, Epimenides, Wita Stosa pamięci estetycznych zarysów siedm, Quidam, O wolności słowa). Do następnych tomów pójdą zebrane już po dziś utwory liryczne, dramatyczne, korespondencya poety — oraz to wszystko, co, pod stymulem niniejszej publikacyi, jeszcze, ufamy, da się odszukać. Plan wydawnictwa, w ten sposób, zamkniętemi (mniej więcej) prowadzonego cyklami, usuwa obawę wszelkiej chaotyczności — a zamierzone — na kiedyś — na koniec wydawnictwa indeksy, bibliografie, chronologie, oraz obszerne studyum biograficzne i krytyczne, zapobiegną reszcie możliwych przy stopniowym układzie wadliwości.

Zapowiadając to wydawnictwo, zwracamy się do wszystkich osób posiadających jakiekolwiek szczątki puścizny literackiej po C. Norwidzie, albo wiedzących o istnieniu gdzieś tychże, z najgorętszą prośbą o informacye szczegółowe i — ewentualnie — o komunikowanie nam danych rękopisów czy druków. Chodzi tu przecież o odbudowanie posągowej postaci jednego z największych mocarzy naszego piśmiennictwa. Zwrot materyałów, oraz wymienienie, od kogo pochodziły, zapewniamy. Wszystkie czasopisma — ufamy — zechcą powtórzyć tę naszą prośbę. —

PISM ZYGMUNTA KRASIŃSKIEGO edycya „krytyczna zupełna," przygotowana za zezwoleniem rodziny poety przez p. Tadeusza Piniego, zaczęła wychodzić nakładem Księgarni Polskiej we Lwowie. O ile zamierzono istotnie *wydanie kompletne wszystkiego, co napisał Zygmunt Krasiński,* przedsięwzięcie rodziny czy Księgarni Polskiej powitaćby należało z radością i zapałem, jako wielki, pierwszorzędnego znaczenia wypadek w literaturze naszej. Czy atoli tak jest rzeczywiście, wątpimy raczej. Powątpiewanie to gruntuje się przedewszystkiem na liczbie zapowiedzianych tomów, wskazującej — (chyba, że tomy byłyby olbrzymie!) — iż w skład tego „zupełnego wydania" nie wejdzie zapewne cała korespondencya, która

jednak u Krasińskiego, bardziej niż u kogobądź innego, do rzędu dzieł twórczych zaliczona i w kompletnej pism edycyi nieodzownie uwzględniona być winna. Czy poza korespondencyą nic już pominiętem nie zostanie, również nie bylibyśmy pewni, wnioskując z wyrażenia najlepiej zapewne poinformowanej w tym wypadku *Biblioteki Warszawskiej*, iż będzie to „pierwsze zupełne wydanie krytyczne tekstu, zawierające także *(? ale czy możebnie wszystkie?)* utwory nigdzie dotychczas niewydrukowane."

Mimo dających się przewidywać niezupełności, ukazanie się oczyszczonej z wszelkich błędów i modyfikacyj, krytycznej edycyi pism wielkiego poety, pod egidą poniekąd rodziny, posiadaczki autografów, jest ważnym faktem literackim — i nie omieszkamy nowe to wydanie omówić obszerniej, gdy zostanie doprowadzone do końca... i gdy je sobie kupimy. Recenzyjnego bowiem egzemplarza, rozsyłanego hojnie wszystkim kuryerkom, *Chimera*, właśnie jako zajmująca się specyalnie literaturą, — rzecz prosta — nie otrzymuje.

WSPANIAŁY RYSUNEK MEHOFFERA z kartonów do dekoracyi skarbca na Wawelu, zdobiący okładkę zeszytu 18-go, postanowiliśmy — w skutek zażaleń niezwykle licznych, iż piękna okładka ta niszczy się zbyt prędko — dać raz jeszcze, jako planszę osobną, przy jednym z zeszytów tegorocznych. Objaw wyjątkowego zainteresowania się szerszych kół podniosłem dziełem młodego mistrza krakowskiego z najżywszą stwierdzamy radością.

ZESZYTEM NINIEJSZYM rozpoczynamy seryę trzecią Chimery (tomy VII — X czyli zeszyty 19 — 30), która ukaże się w przeciągu roku — od kwietnia 1904 do kwietnia 1905. Zeszyt następny, podwójny, 20/21 (za maj i czerwiec), obejmujący ściśle podwójną ilość arkuszy oraz plansz, i ozdobiony nową sześciobarwną litografowaną okładką Edwarda Okunia, wyjdzie w połowie czerwca.

CHIMERA.

CHIMERA

revue mensuelle de littérature et d'art.

22, rue Nouveau Monde, Varsovie.

Sommaire du N-ro 19. — Janvier 1904.

TEXTE: C. Norwid — *l'Hymne „Mère-de-Dieu";* Th. Miciński— *les Pélerins éternels;* H. v. Kleist — *Sur le théâtre des marionnettes;* Bol. Leśmian — *Légendes nostalgiques;* A. Steenbuch — *l'Amour;* A. Ch. Swinburne — *Anactoria;* M. Komornicka — *l'Allié;* S. Nałkowska — *le Jardin;* Ch. Baudelaire — *l'Etranger, Any where out of the world;* A. Rimbaud—*Après le déluge;* J. Lemański—*le Déguisement.*— Revue du mois: *Glosses, les Romans, Bibliographie, Divers.*

PLANCHE HORS TEXTE: Albr. Dürer — *la Melancolie. Réproduction phototypique d'après l'estampe originale.*

DESSINS DANS LE TEXTE — de Korin, Ed. Okuń, Fr. Siedlecki et Fr. Wojtala.

COUVERTURE — *litographie en quatre couleurs* de Joseph Mehoffer.

OD REDAKCYI

REDAKCYA prosi pp. autorów o czytelność rękopisów.

RĘKOPISÓW nieprzyjętych, objętości mniejszej niż arkusz druku, nie zwraca się. — RĘKOPISY WIĘKSZE zachowują się do zwrotu w przeciągu pół roku. Zwrot pocztą — tylko za przysłaniem marek na opaskę rekomendowaną. —

RĘKOPISY BEZ NAZWISKA AUTORA i wyraźnego adresu niszczone są bez czytania

REDAKCYA nie wdaje się w żadne dyskusye co do nieprzyjętych rękopisów i nie podejmuje się, na ich podstawie, żadnych ocen talentu, ani ustnych, ani piśmiennych.

WIADOMOŚĆ O PRZYJĘCIU lub nieprzyjęciu otrzymać można w dwa tygodnie po złożeniu rękopisu w redakcyi.

ODPOWIEDZI NA LISTY, czy to do redakcyi, czy do administracyi jedynie za nadesłaniem marki pocztowej.

Redaktor i wydawca ZENON PRZESMYCKI.

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY LITERATURZE I SZTUCE
REDAKCYA I ADMINISTRACYA Warszawa—Nowy-Świat, 22.—
REDAKTOR: PRZESMYCKI ZENON (MIRIAM) przyjmuje w *piątki* od 2 do 4 pp.
ADMINISTRACYA otwarta *codzień* od 2 do 6 pp.
Skrzynka pocztowa Nr. 457.

PRZEDPŁATA NA ROK 1904 — (od kwietnia 1904 do kwietnia 1905)
(TOMY VII—X CZYLI ZESZYTY 19—30)

wynosi:	w Warszawie	z przes. poczt.	za granicą
rocznie	**9** rb.	**12** rb. — k.	**35** fr. **27** m. **33** kor.
półrocznie	**5** rb.	**6** rb. **50** k.	**20** fr. **15** m. **18** kor.
kwartalnie	**3** rb.	**3** rb. **50** k.	**11** fr. **8** m. **10** kor.

PRZEDPŁATA na **wydanie wytworne** (na grubym papierze żeberkowym) tylko roczna: w Warszawie rb. **30,** z przesyłką pocztową rb. **35,** za granicą **95** fr., **75** mar., **90** kor.

Cena zeszytu niniejszego rb. 2.

Tomy poprzednie miesięcznika (I do VI) nabywać można po rb. **3,** z przesyłką pocztową po rb. **3** kop. **50;**
tom I-szy sprzedaje się tylko w komplecie z II, III i IV-ym;
zeszyty pojedyńcze — tylko 3, 4/5, 6, 7/8, 9, 10/11/12, 13, 14, 15, 16, 17 i 18 — po cenie oznaczonej na każdym.

NUMERÓW OKAZOWYCH się nie wysyła. PROSPEKT na żądanie.

OGŁOSZENIA W „CHIMERZE".

„CHIMERA" przyjmuje w dziale ogłoszeń *jedynie* anonse takich firm i zakładów, które w bliższym lub dalszym stoją związku z produkcyą artystyczną i literacką (fabryki i składy papierów, farb, przyborów malarskich, narzędzi muzycznych, zakłady fotograficzne, litograficzne i wogóle reprodukcyjne, składy obrazów, firmy wydawnicze książek, nut i plastycznych dzieł sztuki, drukarnie, gisernie, księgarnie, antykwarnie, przemysł artystyczny, stałe i peryodyczne wystawy sztuki, sale koncertowe i odczytowe, sezony koncertowe i teatralne, akademie i szkoły sztuk plastycznych, konserwatorya i prywatne szkoły muzyczne i dramatyczne, lekcye prywatne z zakresu literatury i sztuki, pracownie do wynajęcia, adresy i ogłoszenia od artystów pochodzące, itd. itd.).

Cena ogłoszeń:

Na stronnicach poprzedzających tekst literacki, za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce . . . . **40** kop.
Na stronnicach po tekście literackim za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce . . . . **30** kop.

Wszystkie wydawnictwa nadesłane do Redakcyi (książki, czasopisma, nuty, reprodukcye dzieł sztuki, przedmioty sztuki stosowanej, i t. d.) będą, w miarę znaczenia, bądź wzmiankowane, bądź omawiane w dziale sprawozdań.

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów w Warszawie.